

COLLEEN COLLINS  
Mężczyzna jest z Marsa...

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Spóźnisz się kiedyś na własny pogrzeb, mawiała matka Rosie i miała rację, ale Rosie starała się myśleć o czymś przyjemniejszym niż własny pogrzeb, gdy jej dodge neon ścinał narożnik i podskoczywszy na krawężniku, wjeżdżał w aleję Clarcka. Spieszyła się wprawdzie, ale nie popadając przy tym, jak co dzień, w panikę. Od wczoraj była bowiem prawną użytkowniczką wspaniałego miejsca parkingowego, położonego tuż koło wejścia do biurowca, w którym pracowała. Wiedziała, że dziś się nie spóźni, a jeżeli nawet, to w najgorszym wypadku o parę minut. Czerwcowy poranek znakomicie się zaczął i najdalej parę minut po ósmej Rosie zasiądzie za biurkiem i bez reszty odda się korekcie, co nadzwyczaj ucieszy szefową.

Strzepnęła z bluzki okruchy zdrowego batonika z muesli, który zastępował jej śniadanie, spożytego na trasie pomiędzy Michigan Avenue i State Street, i rzuciła okiem na zegarek, przyczepiony taśmą klejącą do tablicy rozdzielczej.

Już było kilka minut po ósmej! OK, najdalej kwadrans po ósmej Rosie zagłębi się bez reszty w tropienie brakujących przecinków.

Łups. Auto podskoczyło na muldzie ograniczającej szybkość, wydając dźwięk, jakby wiekowy wehikuł postradał tylny zderzak. Cholera! Jej budżet nie zniesie kosztów wymiany jakiejś przerdzewiałej rury! Ale auto niezrażone jechało dalej. Skręt w podwórze i już widać betonowe schodki wiodące do tylnego wejścia. A dokładnie za tymi schodkami znajdowało się wynajęte przez nią miejsce parkingowe. Jej mały, własny dom z dala od domu! Posmutniała na wspomnienie prawdziwego domu, farmy rodziców w Colby, w Kansas, gdzie spędziła całe swoje życie, aż do dnia, gdy siedem miesięcy temu przeniosła się do Chicago, w Illinois. Przez pękniętą tylną szybę dodge'a widziała szare czerwcowe

niebo i zastanawiała się, w jakim momencie czysty błękit zmienił się w ścierkowatą szarość? Albo w jakim momencie wiatr przeczesujący łagodnie łany pszenicy zmienił się w przenikliwego świstacza, pędzącego ludzi i auta ulicami Chicago?

Skreśliła w lewo koło schodków i... Prrr!... dosłownie w ostatniej chwili zdołała nacisnąć hamulec.

Jakiś facet zamierzał zająć jej miejsce parkingowe! Wciąż jeszcze trzymała ręce kurczowo zaciśnięte na kierownicy, porażona niezwykłym i cudownym faktem, że nie wjechała w kuper luksusowego bmw, które zaanektowało jej przestrzeń życiową. Jej przestrzeń!

Roztrzęsiona i rozwścieczona Rosie wcisnęła wsteczny bieg, cofając auto o kilka metrów. Zaciągnęła hamulec, wyskoczyła z samochodu i... pluum!... noga Rosie, odziana w lekki półbucik, wylądowała w głębokiej kałuży. Na białych legginsach pojawiły się wstrętne plamy. Błoto upstrzyło też brzeg brązowej sztruksowej spódniczki. Koledzy z pracy pomyślały, że musiała przedzierać się przez bezdroża, aby tylko na czas zdążyć do biura. Chociaż, przyznała w duchu Rosie, w redakcji „Prawdziwego Mężczyzny” nikt, a już na pewno nie szefowa, nie uwierzy w takie bajki.

Cholera! Będzie musiała zaparkować o kilka przecznic dalej! Nici ze słodkich wyobrażeń o miłym dniu roboczym, zaczęłym tak pięknie kilka minut, no, najdalej kwadrans po ósmej. To będzie najdłuższy kwadrans na świecie! Jeszcze raz spojrzała na nieskazitelny, błyszczący kuper bmw. Starannie omijając kałużę - mokre buty skrzypiały bestialsko - podeszła do samochodu, by odczytać numery na tablicy rejestracyjnej. Illityg8. Tygrys z Illinois, mruknęła. Osiem tygrysów. Założę się, że to ten dziad, prawnik z trzeciego.

Gdy Rosie się złościła, jej oczy zwężyły się jak u kota. Albo u tygrysa. Teraz więc para tygrysiich oczu lustrowała

uważnie tylną fasadę budynku. Redakcja „Prawdziwego Mężczyzny” zajmowała dwie dolne kondygnacje budynku, a na trzecim piętrze mieściły się biura jakichś maklerów, agentów i, jeżeli jej pamięć nie zawodzi, prawnika. Jednego. Już ja cię dostanę, powiedziała Rosie bojowo. Spóźnienie rosło w sposób zastraszający, bo znalezienie miejsca na którejś z bocznych ulic zajmie jej na pewno całą wieczność i pół godziny, ale co tam, skoro i tak się niebotycznie spóźni, to dalsze pięć minut nie odgrywa już żadnej roli. A zatem pójdzie złożyć wizytę panom z trzeciego piętra. A zwłaszcza jednemu!

Bang! Rosie obróciła się i spojrzała w maskę ogromnej żółtej ciężarówki, która zatrzymała się tuż za jej dodge'em. Potężne męskie ramię, owłosione i pokryte tatuażem, kiwało na nią zgoła bezceremonialnie.

- Kupiłaś tę aleję na własność, panienko? - zapytał właściciel ramienia, a jego głos wydał się Rosie jeszcze bardziej owłosiony niż owo ramię.

Odgarnęła włosy, nieporządnymi kosmykami spadające na oczy.

- Owszem - odparła. Nieuchronny mechanizm ustawicznych powtórzeń, nabyty, jak wiadomo, w dzieciństwie, sprawił, że Rosie, od najmłodszych lat zmuszona stawiać czoło zaborczej nadopiekuńczości czterech starszych braci, przyswoiła sobie maniery suwerennej greckiej bogini. I chociaż mogła się salwować ucieczką - od dzieciństwa świetnie biegała - skierowała się do swego gruchota z gracją Artemidy, bogini, która na pewno posiadałaby na własność tę diabelną aleję. Z godnością zasiadła za kierownicą i ruszyła w dół ulicy, łaskawie wykonawszy w kierunku kierowcy pewien gest palcami, do złudzenia przypominający figę.

- Dzień dobry.

Ręka przyozdobiona wściekle pomarańczowymi paznokciami z węzową gracją wślizgnęła się w lekko uchylone drzwi biura Beniamina Taylora.

Ben sięgał właśnie po kubek gorącej świeżej kawy, gdy w ślad za ręką do pomieszczenia, pełniącego zarazem funkcję sekretariatu, poczekalni dla klientów i parzalni kawy, wsunęła się również głowa jego byłej żony, Meredith. Usta Meredith miały ten sam wściekle pomarańczowy odcień co paznokcie.

Nowa szminka, nowe paznokcie. Meredith skończyła zapewne z tym, jak-mu-tam-Dexterem, i wracała do korzeni, szukając pociechy i ukojenia. A może nawet postanowiła na stałe wrócić do tego kochanego Bena, który zawsze wszystko świetnie rozumie i zawsze jest na zawołanie.

- Nie będzie dzień dobry?

Usta Meredith wykonały zgrabny ciup, a Ben, wciąż jeszcze w owym mętym stanie, w jakim znajduje się człowiek, zanim wypije rano pierwszy łyk kawy, pomyślał, że ten ciup skondensował pomarańczowe usta jego byłej żony w grudkę rozżarzonej lawy.

- Dobry - burknął i szybko wypił łyk kawy. Boże, pomyślał, spraw, by ta wrząca lawa nie wpadła na pomysł ucałowania mnie.

- No, trochę lepiej - odparła Meredith, wchodząc do biura, a Ben aż skurczył się wewnątrz, bo reszta jego byłej żony spowita była w boleśnie kolorowe, krwistopomarańczowo-błękitnozielone kimono.

Tak było zawsze. Gdy Meredith porzucała kolejnego narzeczonego, bądź też on porzucał ją, jego była żona porzucała zarazem swój dotychczasowy wygląd. Orientalny image oznaczał więc tylko jedno - epoka tego, jak-mu-tam-Hextera, skończyła się definitywnie.

Meredith spojrzała uważnie na lampę stojącą w kącie koło drzwi.

- Widziałam wczoraj prześliczny wieszak na ubrania, naprawdę można umrzeć z zachwytu, czarne lakierowane drewno i inkrustacja z masy perłowej. Świetnie by tu pasował...

Ben zeszywniał. To też było jak zawsze. Gdy Meredith zmieniała image, zmieniało się również biuro Bena, a raczej jakaś jego drobna część. Tak to jest, gdy człowiek ożenił się kiedyś z dekoratorką wnętrz, posiadającą dość pieniędzy, by pozwalać sobie na najdziwniejsze fanaberie. Nowe pomysły Meredith nie byłyby może niczym strasznym, pod warunkiem, że zdołałaby któryś z nich doprowadzić do końca. Doświadczenie nauczyło jednak Bena, że kiedykolwiek zabrała się do kolejnej renowacji jego biura, by nadać mu nowy styl - naprawdę można umrzeć z zachwytu - nigdy nie zdążyła zrealizować zaczętego zamysłu, zakochiwała się bowiem, porzucając zaczęte dzieło w pół drogi.

- Lampa zostanie - ostrzegł Ben.

- Dobrze, dobrze - odpowiedziała, przyglądając mu się zmascarowanymi oczyma. Benowi spodobał się jego własny żarcik językowy. Zmasakrowane maszczą oczy. - Dawniej nie bywałeś opryskliwy - dodała, co było prawdą, która najbardziej chyba zdumiała samego Bena.

A przecież jedno spojrzenie na zmascarowane oczy Meredith starczyło, by Ben pojął to, co nawet idiota by zrozumiał, że miał przed sobą kobietę opuszczoną i cierpiącą, a w tym cierpieniu opanowaną przemożną koniecznością przedekorowania jego biura.

- Nie zdążyłem wypić kawy - mruknął usprawiedliwiająco. Meredith uniosła brew do góry. Jedną.

- Kochanie - powiedziała - czasem mówisz dziwne rzeczy. Tak, nie było wątpliwości. Meredith skończyła z tym, jak-mu-tam-Lexterem, bo nie mówiła do Bena „kochanie”, jeśli była związana z kimś innym.

- Podoba ci się moja nowa fryzura? - zapytała, muskając ją pomarańczowymi paznokciami. Ze spiętrzonych kunsztownie, acz bez ładu i składu włosów sterczały we wszystkich kierunkach. ..

- Co to jest? Bierki?

- Kochanie, jak możesz?! Pałeczki!...

- Nadzwyczaj w stylu Butterfly - wykrztusił wreszcie. - Madame Butterfly.

Włosy Meredith wyglądały jak gniazdo szalonego ptaka. Zdrowy rozsądek podpowiadał jednak, że tę uwagę Ben powinien zachować dla siebie. Nieważne, czy nowy image Meredith jest orientalny, ornitologiczny czy ornitalny, bo cokolwiek znajdowało się na wierzchu, w środku i tak tkwiła kobieta z podkrążonymi oczyma, której ramiona drgały w porywach tłumionego szlochu.

Mimo burzliwego rozwodu Meredith zawsze wracała do Bena w momentach desperacji, a on nie miał serca, by ją odepchnąć.

- Wyglądają bardzo miło - powiedział wreszcie.

- Miło? - Zielone oczy Meredith zabłyśły, a błysk ten mówił: Miło! To wszystko, co ten facet ma mi do powiedzenia!

- Są tak miło brązowe - poprawił Ben niepewnie.

O biada! Za mało, za późno, za niechętnie. Zielony błysk stał się nieomal niebezpieczny. Meredith otwierała właśnie usta, by odpowiedzieć, gdy w ich konwersację wdarł się jeszcze jeden, cienki jak igła kobiecy głos.

- Me-re-dith - zapiszczała Heather, obejmując Meredith szczupłymi, opalonymi ramionami. W przeciwieństwie do Meredith Heather miała prosty stosunek do kwestii odzienia. W piątek, świątek i niedzielę nosiła sukienki, których prostotę z trudem można było zauważyć, tak było ich mało i krótko.

Meredith i Heather ucałowały powietrze w okolicy swych policzków, po czym Heather cofnęła się o krok, by okiem znawcy ocenić wygląd Meredith.

- Cool! - zapiszczała. - I włosy! Nowa moda! Na niechlujkę! Super!

Tyle na temat ptasiego orientu. Teraz zatem była w modzie niechlujka. Ben wzdrygnął się po raz kolejny, bo wyobraźnia podsunęła mu obrazy rozmaitych części jego biura, zamienionych w norę abnegata. Meredith uśmiechnęła się tajemniczo, choć widać było, że topnieje z zadowolenia pod lawiną niewymuszonych zachwyków Heather. Tak więc Heather trafiła w sedno, podczas gdy on zdobył się zaledwie na dwa przymiotniki. Meredith delikatnie musnęła jedną z pałeczek.

- Och, po prostu miałam ochotę spróbować czegoś nowego. Niebieskie oczy Heather zamieniły się w jedno wielkie współczucie.

- Z Dexterem koniec, co?

Stożkowate usta Meredith zadrgały, a ich właścicielka z jękiem osunęła się w czułe objęcia Heather. Długie jasne włosy jego sekretarki z matczyną czułością otuliły kimono jego byłej żony, a ich właścicielka posłała Benowi druzgocące spojrzenie.

- Powiedz coś - zażądała.

- Spóźniłaś się.

Heather zniecierpliwiła się wyraźnie.

- Nie do mnie. Do niej.

- Do Meredith? Wygląda całkiem miło, a ty się spóźniłaś. Jest prawie dziewiąta.

Heather mruknęła coś pod nosem, nie przestając pocieszająco głaskać Meredith, która łkając opowiadała coś o tym, że Dexter zażądał oddania ogonka...



Ben przyglądał się obu kobietom, z których jedna była jego żoną, a druga była kochanką, i stwierdził, że ma na składzie wystarczająco byłych, by z dobrym zapasem przystąpić do gry, na przykład w komórki do wynajęcia. Ale Ben miał trzydzieści sześć lat i nie czuł się na siłach do podjęcia nowej rundy rozgrywek o komórki, zajęte przez byłe czy nawet aktualne kobiety jego życia. Jeżeli w ogóle jeszcze miał na coś ochotę w dziedzinie stosunków międzyludzkich, to na prawdziwą męską przyjaźń. Do diabła! Taka prawdziwa męska przyjaźń, bar piwny, przegadana noc, partia kręgli. Choć, prawdę mówiąc, wolał wino i szachy - rozrywki, które dzielił kiedyś ze swym najlepszym kumplem, Mattem. Ale Matt się zakochał i wyjechał do Kalifornii.

Od tego czasu Ben nie miał praktycznie kontaktów ze światem męskich przyjaźni i potrzeb, jeżeli nie liczyć artykułów z gazety zatytułowanej „Prawdziwy Mężczyzna”, z której Heather od czasu do czasu odczytywała mu co ciekawsze odpowiedzi z rubryki "Prawdziwy mężczyzna odpowiada na prawdziwie ważne pytania", a pytania były naprawdę ważne i dotyczyć mogły zarówno żyłki do spinningu, jak i żyłki sportowej. Gdy w biurze nie było akurat klientów, a Heather wyszła na lunch, Ben sięgał czasami po tę gazetę, ale raczej dałby się pokrajać na kawałki, niż przyznał, że lubi czytywać to piśmidło, pełne zdjęć młodych męskich byków prężących mięśnie w artykułach o nurkowaniu koło Wielkiej Australijskiej Rify Koralowej lub najwspanialszych strażakach w Chicago.

Ben żądał zresztą stanowczo, by Heather chowała tę lekturę do szuflady. Bądź co bądź specjalizował się w prawie pracy i nie byłoby właściwe, by klienci, a już zwłaszcza przeciwnicy, dowiedzieli się, że w biurze poważnego prawnika czytuje się pisemko wypełnione ciałami słodkich,

nagich kochasiów. Jak nic mógłby się liczyć z pomówieniem o nadużycia seksualne lub pogardę dla kobiet.

Heather czytywała też książki, które głosiły, że mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus, ale w przypadku tych książek Ben nie dbał o to, czy zostawia je na biurku czy nie. Były to książki o szacownych okładkach, bez śladu nagości, i tytułach zgodnych z równouprawnieniem płci - Wenus dla kobiet, Mars dla mężczyzn. Ben przeglądał je czasem i zastanawiał się, czy w tej marsjańsko-venusjańskiej serii istnieje książka dla mężczyzn, którzy niespodziewanie wylądowali na Wenus, chcieliby jednak wrócić na Marsa. Ben czuł, że życie złapało go w pułapkę na Wenus, w świecie pełnym byłych żon i kochanek.

- Jest do głębi zraniona - powiedziała Heather bezgłośnie, wciąż jeszcze piastując szlochające kimono i pałeczki do ryżu.

- Ja też - równie bezgłośnie odpowiedział Ben. - Chcę wrócić na moją planetę.

Poznał Heather cztery lata temu w barze z kanapkami. Chłopak zza lady, oczarowany jej nimfowatym wdziękiem, obsługiwał ją jak pokorny niewolnik, podczas gdy naburmuszony Ben czekał na swoją kolejkę. Ale gdy Heather oderwała duże błękitne oczy od sprzedawcy i skierowała je sennie na Bena, potrząsając grzywą jasnych włosów jak Bo Derek na filmowej plaży, Ben poczuł, że i on chętnie stałby się jej kanapkowym niewolnikiem.

Po miesiącu byli zaręczeni, a Heather podjęła pracę jako recepcjonistka w jego jednoosobowym biurze prawnym. Ale plażowa nimfa okazała się w rzeczywistości królową śniegu. W sześć miesięcy później Ben miał nieprzeparte poczucie, że ktoś włożył go do mrożonej kanapki zamiast szynki. Gdy zerwali ze sobą, Ben wynajął Heather nowe mieszkanie, a gdy okazało się, że ona nie może znaleźć pracy, powiedział, że może zostać.

W końcu nie mógł przewidzieć, że jego dwie byłe kobiety zmieniają się w jedną straszną byłość.

- No powiedz coś!

Do diabła, był w końcu prawnikiem, a nie doradcą od siedmiu sercowych boleści! Ale jeżeli miał swoją piętę achillesową, to na pewno umieszczona była w sercu. Nie mógł nawet znieść myśli o tym, że mógłby kogoś celowo zranić, zwłaszcza jeżeli tym kimś była kobieta. Było to bezpośrednim skutkiem wyrastania jako jedyny osobnik płci męskiej w rodzinie złożonej z matki i siostry. Fakt, który zdecydowanie zaważył na wszystkich jego przyszłych stosunkach z kobietami.

- Przykro mi, że Dexter chciał odebrać... ten ogonek. Meredith podskoczyła gwałtownie.

- Pierścionek! - wrzasnęła. - Pierścionek! Nie ogonek! Heather, odrzucając grzywę jasnych włosów, spojrzała na niego oskarżycielsko.

- Jak możesz być tak impertynencki?

Meredith, w najgłębszym stadium samowspółczucia, potwierdziła opinię Heather.

- Nigdy cię nie obchodziło, co się ze mną dzieje, nawet jak jeszcze byliśmy małżeństwem.

Ben przyglądał się im, a wtedy nieco z tyłu, ponad dwiema naburmuszonymi twarzami, pojawiła się jeszcze jedna. Nieznana mu kobieca twarz, zwieńczona burzą kasztanowych loków, z których jeden, jak u małej dziewczynki, opadał niesfornie na czoło. Mała dziewczynka, pomyślał Ben. Gdy jest grzeczna, to jest grzeczna nadzwyczaj, ale jeżeli jest niegrzeczna, to...

- Czy pan Benjamin Taylor? - zapytała niegrzeczna grzeczna dziewczynka.

Nie, pomyślał Ben, to impertynencki były-mąż-kochanek, który nie odróżnia pierścionka od ogonka. Na głos odpowiedział jednak zgodnie z prawdą:

- Tak, słucham.

- Illityg?

- Nie mam pojęcia? A pani? To rosyjski?

Mógłby przysiąc, że niesforne loki nieznajomej skreśliły się ciaśniej, a oczy zwięzły się w szparki.

- To amerykański i pański - warknęła dziewczyna. - Samochód. Rejestracja: I-L-L-I-T-Y-G-8.

- Czy ktoś uszkodził mój samochód?

- Nie, ale o mały włos ktoś wjechałby panu w kuper - głos nieznajomej zniżył się groźnie o parę rejestrów. - A mianowicie ja. - Stanowczo wysunęła mały ostry podbródek. - Ukradł pan moje miejsce parkingowe! Jest pan ohydny, złodziejskim, illinojskim tygrysem.

Illinojski tygrys?

Meredith i Heather patrzyły na rozłoszczoną nieznajomą i wydawało się, że wskutek przedziwnej osmozy, mimowolnie przyswajają sobie jej złość. One też były złe, a teraz już nawet wściekłe. Tworzyły we trzy boską kobiecą triadę, blokującą drzwi i wszelką możliwość ucieczki. Takie rzeczy nie mają prawa się zdarzać nikomu, dopóki nie wypije pierwszej kawy. Była dopiero dziewiąta, a Ben zdołał się już narazić trzem furiom, z których jednej nigdy w życiu nie widział!

Ale Benjamin Taylor był prawnikiem, a każdy prawnik dostaje na chrzcie tajny przydomek, cudowne słówko: negocjacje. Zmuszając kąciki ust do wystudiowanego uśmiechu, Ben zapytał grzecznie:

- Może przejdziemy do biura, żeby to przedyskutować?

- A po co?

- To nie było do ciebie, Heather, tylko do naszego gościa. Rzucił swej byłej kochance spojrzenie, które umiała

respektować, a które znaczyło: zjeżdżaj! Potrząsając plażową grzywą i stukając upiornie butami na ogromnych platformach, Heather wycofała się w kierunku swego biurka.

Ben szedł już w stronę gabinetu, a przechodząc obok Meredith, szepnął:

- Bardzo mi przykro, nie dosłyszałem, oczywiście pierścionek, a nie żaden ogonek...- i w odruchu wiecznego pocieszyciela dodał: - Może chcesz rzucić okiem na kanapę, przydałaby się jakaś innow...

Chwila spokoju jest warta nawet najporządniejszej kanapy.

Meredith podeszła do kanapy krokiem łowcy, który lada chwila dopadnie łupu.

Ben skierował całą swoją uwagę na grzeczną dziewczynkę. Miała na sobie białą bluzkę, nieporządnie wetkniętą w przyzwoitą brązową spódniczkę do kolan. Bluzka wystawała znad paska, tworząc śmieszny ogonek. Ogonek! Tylko tego brakowało!

- Pani pozwoli - powiedział, wskazując na drzwi do gabinetu. - Z kim mam przyjemność?

- Rosie Myers.

Aha, panienka, pomyślał Ben, wiedząc, że mężatka dodałaby przed nazwiskiem wymawiane z naciskiem słowo „pani”. Bez znaczenia. Pani czy panna Myers nie interesowała go, może tylko ten niesforny kosmyk... I pełen życia błysk piwnych oczu, które teraz ponuro lustrowały jego biuro.

- To kancelaria adwokacka, a nie izba tortur - powiedział.  
- Proszę, niech pani spocznie.

Obdarzyła go spojrzeniem pełnym głębokiej dezaprobaty, ale może chodziło jej o wyszukane drewniane krzesła, z wyrzeźbionymi na oparciach harpiami, przeznaczone dla klientów.

Ben zauważył, że włosy nieznajomej są u nasady ubłocone, podobnie jak praktyczne brązowe półbuciki i białe rajstopy.

Przed chwilą powiedziała mu, że o mały włos najechałaby na jego samochód. Jak? Przedzierając się przez moczary?

- Napije się pani kawy? A może herbaty?

Rosie wybrała to z dwóch krzeseł, które było bardziej oddalone od masywnego biurka.

- Dałabym się pokroić za kawę - odparła.

- Heather! - zawołał w kierunku recepcji - mogłabyś...

- Muszę pomóc Meredith - odparła jego sumienna sekretarka. Ciekawe w czym? Może w jedzeniu pałeczkami? Ben spojrzał na Rosie.

- Z mlekiem? Z cukrem?

- Trzy łyżeczki cukru i mnóstwo mleka.

- To już raczej koktajl mleczny, a nie kawa - powiedział Ben, wracając do recepcji.

Rosie siedziała sztywno wyprostowana na niewygodnym krześle i z wyglądu kancelarii starała się wywnioskować coś o właścicielu Illityga. Była już potwornie spóźniona, co groziło naganą albo, co gorsza, zwolnieniem, ale po unurzaniu się w kałuży, wymianie uprzejmości z kierowcą ciężarówki i znalezieniu parkingu o kilometr od biura Rosie naprawdę potrzebowała kilku minut na kawę i wynegocjowanie sprawy miejsca parkingowego z prawnikiem tygrysem. Obejrzała kancelarię i doszła do wniosku, że architekt wewnątrz przeżył tu głębokie załamanie nerwowe. Na ścianie wisiało kilka pejzaży, które boleśnie przypominały jej rodzinne strony. Wielkie przestrzenie łagodnie rozkołysanych pól i wysokie niebo. W takim otoczeniu Rosie spędziła prawie całe swe dotychczasowe życie. Dwadzieścia sześć lat. Szybko przeniosła wzrok na drugą ścianę, na której wisiała kolekcja mosiężnych gadżetów, ozdobionych paciorkami i piórami.

- Proszę - powiedział uprzejmie tygrys, podając jej kubek wonnej, parującej kawy. Sam usiadł za biurkiem w okazałym fotelu z wysokim oparciem.

Miał w sobie spokój, który zaskoczył Rosie. I nie był, zwyczajem prawników, jakich widywała na ekranie, ubrany w garnitur, lecz w płócienne spodnie i lekki sweter. Niebiesko-brunatny wzór skośnych rombów na swetrze dobrze harmonizował z kolorem oczu i włosów. Jego kancelarii na pewno brakowało stylu, ale on sam wykazywał dobry gust. I, mimo iż Rosie próbowała nie zwracać uwagi na ten fakt, jego wygląd był... podniecający, o czym jej ciało dawało znać w sposób zgoła bezceremonialny.

- Dziękuję - zachrypiąca niepewnie, wściekła na własny głos, który doprawdy nie umiał stanąć na wysokości zadania. Ale co tam głos - Rosie pomyślała, że dobrze by było, gdyby jej własny organizm umiał stanąć na wysokości zadania! Siłą woli przeniosła wzrok na kubek, ozdobiony podobizną Jamesa Deana z niedopałkiem papierosa w ustach i tytułem filmu. „Buntownik bez powodu”.

Tygrys oczywiście zauważył, że ona ogląda kubek.

- To pomysł moj... architektki wnętrz - wyjaśnił. - Posiadam komplet kubków „Złoty wiek Hollywood”. Po prawdzie wolę staromodne filiżanki, ale moja recepcjonistka zabrała je do domu. Urządzała przyjęcie i jeszcze ich nie odniosła... - Jego zmęczone spojrzenie omiotło ściany kancelarii, zatrzymując się na plakacie, przedstawiającym Jimmy'ego Stewarta w filmie „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu”.

Ponieważ tygrys zajęty był Stewartem, Rosie pociągnęła spory łyk z Jamesa Deana i westchnęła z zachwytu. Poważnym mankamentem ustawicznych spóźnień był nieuchronny fakt, że rano Rosie na nic nie miała czasu, a już

na pewno nie mogła spokojnie delektować się aromatyczną kawą.

- Wspaniała - szepnęła, przymykając oczy. Ben przyglądał się jej z uśmiechem.

- Doceniam pani zadowolenie - powiedział głosem, który Rosie wydał się głęboki i męski.

Patrzyli na siebie przez moment. Rosie przysięgłaby, że łomot jej walącego serca odbija się echem o ściany pokoju. Mocniej chwyciła kubek, bojąc się, że wypadnie z nagle powilgotniałych dłoni. Jeszcze przed chwilą ten facet był dla niej tylko obrzydliwym Illitygiem, teraz stał się ekscytującą obecnością, która pozbawiała ją woli i rozogniała myśli.

Miała ochotę sama siebie kopnąć pod stołem. Ma być wściekła, a zamiast tego rozmarza się jak małolata. Musi się stanowczo domagać swych praw!

- Czy tak właśnie postępują przebiegli prawnicy? - zapytała, przerywając przedłużające się milczenie. No, przynajmniej głos zachowywał się jak należy i nie chrypiał. - Rozmiękczają klientów kawą i zdjęciami gwiazd filmowych, aby zapomnieli, o co walczą?

- Gwiazd filmowych? - zapytał Ben zdziwiony. - A o co mają walczyć?

Rosie od niechcienia wytarła wilgotne dłonie o sztruksową spódniczkę.

- Ukradł pan moje miejsce parkingowe.

- Ukradłem co? - powtórzył. - Chodzi o miejsce parkingowe za tylnym wejściem do budynku?

- Tak.

- Nie - odpowiedział krótko i upił łyk kawy z kubka, ozdobionego podobizną Marleny Dietrich w cylindrze. Odstawił kubek odrobinę zbyt zdecydowanie, otworzył szufladę i wyjął z niej dokument. - Wczoraj zapłaciłem



miesięczny czynsz za wynajem miejsca, na którym dziś parkuje mój samochód.

- Ja też - powiedziała Rosie.

- Może zapłaciła pani za inne miejsce parkingowe - zasugerował uprzejmie.

- Nie.

Podał jej zaświadczenie płatności.

- Ma pani rachunek?

- Oczywiście. W domu - odparła. Oczywiście w domu, ale gdzie... W kuchni, w koszu na bieliznę?

- Mam nadzieję, że to rozwieje pani wątpliwości odnośnie do przedmiotu sporu - powiedział.

„Odnosnie do przedmiotu sporu”. Przystudiowała kwit, zaświadczający, że Benjamin Taylor uiścił miesięczną opłatę za miejsce parkingowe C1001.

- C1001. Może odnosi się to do innego przedmiotu sporu? Popatrzył na nią zaskoczony jej ironią.

- Zgodnie z planem przestrzennym, miejsca C znajdują się za schodami.

Ta dyskusja niczego nie mogła wyjaśnić. Rosie nie miała przy sobie rachunku, nie wiedziała, gdzie są miejsca C, gdzie A i B... Ale naprawdę nie mogła codziennie biegać na odcinku pięciu czy sześciu przecznic. Chciała odzyskać swoje miejsce, a być może jeszcze bardziej chciała odzyskać równowagę wewnętrzną, zakłóconą przez jakiegoś bubka o wyglądzie Hugh Grania i manierach Harrisona Forda. Chrząknęła.

- Zarząd budynku musi mieć w aktach kopię obu naszych rachunków. Proponuję, byśmy przedyskutowali wątpliwości odnośnie do przedmiotu sporu w biurze. W porze lunchu? - dodała pytająco.

Tygrys otworzył terminarz.

- OK - powiedział. - O dwunastej.

- O dwunastej - powtórzyła. Facet miał rachunek, terminarz, dwie sekretarki, komplet kubków, bmw, sweter dopasowany do koloru oczu i włosów. Nie musiał mieć jeszcze ostatniego słowa. I bez tego Rosie czuła się jak przegrany ze szczętem, niechlujny nieudacznik.

Upiła właśnie łyk kawy, gdy zorientowała się, że jej rozmówca wstał. Wstała też, jednak tak niezręcznie, że wychlapała resztki kawy na rajstopy i dywan! Ben pochylił się ku niej i złapał ją za ręce w tym samym momencie, gdy sama zdołała mocniej uchwycić nieszczęsnego Jamesa Deana. Przez moment stali tak pośrodku kancelarii, wspólnie trzymając kubek, w geście przypominającym magiczny obrzęd kultu kawy.

Rosie starała się nie zwracać uwagi na ciepło jego rąk. Ani na piżmowy zapach jego wody kolońskiej. Ani na swoje serce, znowu bijące jak dzwon, fakt nie mający nic wspólnego z wypitą właśnie kawą.

- Pochlapała pani rajstopy. - Niski, męski głos Bena wprowadził Rosie w drzenie. Poczowała, że jej ciało ogarnia fala ciepła. Popatrzyła na poplamione rajstopy. Ślady błota niewiele różniły się kolorem od świeżych plam po kawie. Z całą pewnością udało się jej zrobić na nim wrażenie.

Pomijając wyniosłym milczeniem brudne rajstopy, Rosie powtórzyła:

- A zatem o dwunastej.

Ben uwolnił jej ręce z uścisku. Był znacznie wyższy od niej.

- O dwunastej - potwierdził.

Rosie obróciła się i poszła w kierunku recepcji.

- Będę w biurze zarządu o dwunastej! - zawołał Ben na pożegnanie.

Rosie zatrzymała się gwałtownie.

- Mówiłem do mojej sekretarki - poinformował ją tygrys.

- Ach tak - odparła Rosie, w przyspieszonym tempie pokonując pomieszczenie recepcyjne. Dopiero na korytarzu zorientowała się, że nadal dzierży w ręku kubek z Jamesem Deanem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Prawdziwy Mężczyzna uciekł z facetką imieniem Bum Bum? - zapytała Rosie. O tym zdumiewającym fakcie poinformowała ją Pam, ledwie Rosie przestąpiła próg biura.

- Poczekaj - powiedziała Pam - to nie koniec. Bum Bum jest striptizerką i gra na bębenu. - Pam z zachwytem wykonała gest bębnienia w afrykańskie bongo. Szare oczy pełne były radosnych iskierek. - Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie przyjdiesz. Okropnie się dziś spóźniłaś...

- Musiałam zaparkować strasznie daleko, co najmniej sześć przecznic stąd. Szukała mnie?

- Nie. Jest na odprawie szamanów. Wielkie łby muszą zdecydować, kto zastąpi Prawdziwego Mężczyznę.

Rosie nie wiedziała, co bardziej ją zadziwiło w tej aferze, fakt, że pan Prawdziwy Mężczyzna, ten szary i nijaki, pełen starokawalerskich nawyków facecik, piszący odpowiedzi na listy czytelników, porzucił swe dotychczasowe życie czy że Bum Bum była w stanie bumbumować, grając na bębenu. Był to największy skandal, z jakim się dotąd zetknęła. W ciągu ostatnich dziesięciu lat w Colby nie zdarzało się przecież nic bardziej skandalicznego niż poturbowanie starej pani Fergusson przez pijanego Bobby-Joe Reeda.

Pam przysiadła na krawędzi biurka Rosie i z gracją wymachiwała obutą w sandałek stopą.

- Zaparkowałaś o sześć przecznic stąd? Myślałam, że wynajęłaś sobie miejsce parkingowe.

- Prawnik mi je gwizdnął - powiedziała Rosie, wciąż wpatrując się w biurko, przy którym nijaki pan Prawdziwy Mężczyzna płodził swe odpowiedzi, ciesząc się wcale nie nijaką popularnością.

Gdy przyszła przed chwilą do biura, od razu zauważyła nieobecność Williama (nikt nigdy nie nazwałby go Billem). William pojawiał się w biurze zawsze punktualnie o godzinie

ósmej dziesiąt, niosąc na tacy bułeczkę owsianą i kawę z mlekiem. Rosie wydało się przede wszystkim dziwne, że pan Prawdziwy Mężczyzna, taki szary pan z maleńkim wąsikiem, który sam określał jako rysunek piórkiem, znał w ogóle kogoś takiego jak Bum Bum, znacznie dziwniejsze niż to, że z nią uciekł. Rosie wyobraziła sobie tę parę w jakiejś egzotycznej scenerii, w której oboje oddają się namiętej grze na bębenkach bongo, a wizja ta wywołała w niej jakieś całkiem nieznane tęsknoty.

- O czym myślisz? - zapytała Pam.

Rosie popatrzyła w poważne oczy przyjaciółki.

- Najdziksza rzecz, jaką zrobiłam w życiu, to była decyzja, żeby wsiąść do samolotu i przylecieć do Chicago. - A po chwili milczenia dodała: - Kiedyś wygrałam z krową.

- Hmmmm?

- No, przepychałam się z krową. - Rosie wykonała wymowny gest obiema rękami.

- Dla rozrywki? - zapytała Pam. Była typowym stworzeniem miejskim i jedyną osobą, dzięki której Rosie w ogóle zdołała pokonać szok kulturowy, jakim było przeniesienie się z małej, pełnej krów farmy w Kansas w sam środek życia wielkomiejskiego. Teraz Pam sięgnęła po papierową chusteczkę do nosa.

- Ale nie mów, że dziś też przepychałaś krowę.

- Mogło się zdarzyć. Miasto jest przecież pełne krów - powiedziała Rosie, mając na myśli najnowszy happening. Władze miasta zakupiły dużą liczbę plastikowych krów wielkości naturalnej i oddały je artystom, którzy pomalowali je w cudaczne wzory i wystawili w miejscach publicznych. Pam jednakże nie chodziło o krowę artystyczną.

- Jesteś dość... ubłocona - powiedziała, wycierając chusteczką czoło Rosie. - No, już.

Rosie jęknęła.

- Miałam błoto na twarzy? O rany! Wpadłam jak burza do kancelarii tego prawnika na górze i nawymyślałam mu od złodziei. Gdybym wiedziała, że jestem upaprana błotem... I żebym chociaż otarła twarz! Nic dziwnego, że patrzył na mnie jak na idiotkę.

A ona, idiotka, myślała, że są to spojrzenia pełne zachwytu. Pam przyjrzała się przyjaciółce.

- Na nogach też masz błoto - powiedziała. - Na miłość boską, dziewczyno, co ty wyrabiałaś?

- Zgłębianie dogłębne, które polega na wsadzaniu nóg w głębokie kałuże pełne wody i błocka. Potem pokłóciłam się z kierowcą ciężarówki, skonfrontowałam z tygrysem i ukradłam kubek do kawy.

Pam z trudem powstrzymywała uśmiech.

- OK, wszystko w porządku. Tylko jeżeli już musisz kraść, czemu ukradłaś takie byle co?

- To przypadek - westchnęła Rosie. Nic nie poszło tak jak należy podczas spotkania z Benjaminem Taylorem, prawnikiem. Postradła spokój ducha i równowagę wewnętrzną, była brudna, nie miała kwitka i ukradła kubek. - A można by pomyśleć - powiedziała, patrząc na fotografie rodzinne ustawione na biurku - że kobieta, która wyrastała w domu pełnym mężczyzn, będzie w dorosłym życiu wiedziała, jak radzić sobie z facetami.

- Kochanie, to rzeczywiście poważne zagadnienie, ale może zużyłabyś nadmiary energii na jakieś sensowniejsze zajęcie. - Mówiąc to, Pam bawiła się malutkim dinozaurem w krótkiej spódniczce. Był przebrany za amerykańską cheerleaderkę. Przed wyjazdem do Chicago Rosie dostała go od jednego z braci. Miał jej przypominać, że jest w Kansas ktoś, kto zawsze pospieszy jej z pomocą. Wymachując zabawką, Pam przyglądała się Rosie spod oka. - Jak sądzisz, kto dostanie pracę Williama?

Rosie też się nad tym zastanawiała. Przetasowania w redakcji mogły się odbić również na ich sytuacji. Obie zajmowały w hierarchii redakcyjnej niskie pozycje, niewiele lepsze od gońców. Rosie była korektorką, Pam - stażystką w dziale marketingu. Gdy Rosie przed kilkoma miesiącami pojawiła się w redakcji, świeżo upieczone przyjaciółki poprzysięgły sobie, że do końca roku wyrwą się na dobre z „kanału” źle płatnej i pozbawionej widoków pracy.

- Ty?

- Coś ty! Ja się obsunęłam - odparła Rosie, wzdragając się na wspomnienie blamażu, jakim zakończyła się jej poprzednia próba wyskoczenia z „kanału”. - Brakuje mi sporej porcji ogólnego wykształcenia wielkowiejsko-biurowego. Może wpadniesz dziś do mnie na kolację, to pogadamy? Mam nadzieję, że w lodówce są jakieś resztki.

- Zrobimy burzę mózgów - zgodziła się Pam. - A co do twoich obsunięć... - Pam machnęła lekceważąco ręką i zadzwoniła bransoletkami - byłaś zielona jak jabłko z Kansas. Nie znałaś kodeksu. A poza tym to było miesiące temu, wszyscy dawno zapomnieli... Nie przejmuj się i pamiętaj, że schudłaś.

Było to koło ratunkowe, które przerzucały do siebie w chwili, gdy jedna z nich potrzebowała pociechy. Argumencik był dumny, ale nieodmiennie skuteczny - zawsze wywoływał uśmiech. Rosie zachichotała. Rzuciła okiem na staromodny zegarek na skórzanym pasku - prezent od kolejnego z czterech braci, tego, który studiował prawo.

- Jak myślisz, czy Paige jest jeszcze na zebraniu?

- Paige! - wykrzyknęła Pam. - Nasza niezbywalna pani menedżer! Oto kobieta, która z całą pewnością wie, jak właściwie spożytkować swoją energię! - Wciąż jeszcze ściskając w garści dinozaura, Pam podniosła słuchawkę i wystukała numer. - Dzwonię do Jerome'a.

Jerome był asystentem Paige. ' Zanim Rosie zdążyła zaprotestować, Pam wyciągała już telefon w jej kierunku.

- Słucham - powiedział Jerome w słuchawce. Miał głos równego faceta, co znaczyło, że Paige nie było jeszcze w biurze. Jeśli bowiem była, Jerome zachowywał się jak udzielny książę.

- Rosie, hmm - chrząknęła - Rosalind Myers. Chciałabym poprosić o pięciominutowe spotkanie z panią Leighton. Dziś.

- Nie ma czasu.

Było jasne, że Jerome nie raczył nawet spojrzeć do kalendarza dyrektorki. Rosie prychnęła, dając tym samym znać Pam, że Jerome nie jest w nastroju kooperacyjnym. Pam podniosła dinozaura, każąc mu pociesznie wywijać pałeczkami.

- Może jednak znalazłaby się chwileczka między jednym zebraniem a drugim - zasugerowała Rosie głosem słodkim jak ulepek.

- Mowy nie ma.

Rosie znowu prychnęła, podczas gdy Pam wymownie pokazywała gest płacenia.

- Mam ci zapłacić? - rzuciła Rosie w słuchawkę.

Pam wykonała straszną minę - Rosie znowu posunęła się za daleko - i szybko nabazgroliła na kartce słowo „lunch”.

- Zaprosić - poprawiła się Rosie. - Na lunch. Pam kiwnęła głową.

- Udało ci się - powiedział Jerome. - Pani Leighton ma właśnie spotkanie, ale jeśli się pospieszysz, zdołam cię jakoś upchnąć przed następnym terminem. A co do lunchu, to oczywiście w Focaccio.

- Znakomicie - odparła Rosie. - Zaraz u was będę, a potem pogadamy o Fukaczio. Pa.

- No proszę. Załatwiłaś sobie spotkanie z Tą, Która Rządzi - powiedziała Pam z uznaniem.



- Tak. I to zaraz. I muszę postawić obiad Temu, Który Jest Przekupny.

- Z nim tak zawsze. Ale to w końcu niewielka cena. Nie zwracaj sobie głowy. Szkoda, że muszę lecieć do klientów. Umrę z ciekawości. Ale opowiesz mi wszystko przy kolacji.

- Dziękuję. - Rosie wstała i wygładziła spódniczkę. - Jak wyglądam?

- Idź do klopa i ściągnij te brudne rajstopy. Poza tym wyglądasz wypisz wymaluj jak... Prawdziwy Mężczyzna.

W toalecie Rosie wyrzuciła rajstopy do śmieci, obmyła twarz, wzięła głęboki oddech i spojrzała na swe odbicie w lustrze. Była bladozielona. Może to tylko to upiorne światło, pomyślała, ale może jednak mama ma rację i powinnam się trochę malować. Poprawiła rękoma gęstwę brązowych loków. Przydałoby się mieć grzywę, mruknęła.

Rosie nie była aż taką idiotką, żeby nie wiedzieć, że pracę Williama musi wykonywać mężczyzna i że redakcja zatrudni jakiegoś faceta. Ale w chwili obecnej, gdy na podorędziu nie ma żadnego dziennikarza, strzał Rosie może się okazać pełnym zwycięstwem, pozwolić jej na wyjście z „kanału” i pokazanie, że umie pisać. Jeżeli nie chwyci szansy, kiedy się nadarza, może równie dobrze spędzić resztę życia, poprawiając błędy i kopiując wycinki.

Rzuciła okiem na zegarek. W chwilę potem wchodziła do biura Paige. Jerome przyglądał się jej z cwany uśmiechem.

Jego sposób taksowania kobiet zawsze ją peszył. A co gorsza, będzie musiała spędzić lunch wystawiona na to spojrzenie. Lunch w Fumaccio, czy jak się to tam nazywało, będzie ją pewnie kosztował miesięczną rację zdrowych batoników z muesli.

Zwolniła kroku, wstępując na jasny puszysty dywan, który wyściełał wielkie biuro Paige. Ta Paige, która wygląda, jakby pozowała do zdjęć w ekskluzywnych wnętrzach Laury

Ashley! „Ta Paige” siedziała przy ogromnym szklanym stole. Na widok Rosie zdjęła okulary. Uśmiechała się, nie mrużąc oczu.

- Jerome powiedział, że musisz ze mną omówić sprawę nie cierpiącą zwłoki. Niestety, mogę ci poświęcić zaledwie kilka minut.

Rosie wskoczyła prosto w chłodną toń kilku stojących do jej dyspozycji minut.

- Rubryka odpowiedzi Prawdziwego Mężczyzny jest chwilowo nie obsadzona...

Na twarzy Paige nie widać było ani cienia emocji.

- Proponuję powierzenie mi tej rubryki w zastępstwie, dopóki kolegium nie znajdzie nowego redaktora.

- Rosie - powiedziała Paige, przedłużając „o” w jej imieniu - czy mi się zdaje, czy miałaś już pewne szanse?

- Tak.

A więc nawet wielka Paige Leighton, zastępczyni Samego Najwyższego, słyszała o jej wpadkach.

- Wydaje mi się - mówiła dalej Paige - że Sophia Weston potrzebowała artykułu na temat kobiet uległych, czy tak? A Rosie Myers napisała...

Rosie skurczyła się wewnątrz. „Persefona, bogini świata podziemnego, wyraża kobiece tendencje pasywne i kobiecą potrzebę przypodobania się za wszelką cenę”. Pisząc to, Rosie czuła się po prostu genialną dziennikarką. Ale Sophia Weston, szefowa działu, mało nie dostała apopleksji. Rosie zmusiła się do uśmiechu.

- Błędnie zinterpretowałam wytyczne pani redaktor. Wypolerowany paznokiec Paige postukiwał w szklany blat biurka.

- Był też incydent...

- No tak. Była jeszcze sprawa najzwyklejszej poprawki. - Zastanowiła się przez chwilę, czy użyć słowa „maleńkiej”, ale być może byłoby to już przesadą. - Reklamówki - dodała.

- Weselnej.

Cholera! Paige jest stara jak dinozaur, ale pamięć ma zadziwiająco młodą. Ciekawe, jak to robi? Herbatka z miłorzębu?

- Tak - przytaknęła. - Reklamówka weselna.

- Od jednego z naszych najlepszych zleceniodawców. Zdaje mi się, że nie był... zadowolony.

- Chodziło o Herę - pospieszyła z wyjaśnieniem Rosie. -W reklamie była Afrodyta, ale to Hera była patronką małżeństw.

- Tak - powiedziała Paige. - Przypominam sobie. Panna młoda piękna jak Hera. A panna Rosie nie przewidziała, że zecer nie znał słowa Hera, znał natomiast podobne, mianowicie hetera, co... bardzo wzburzyło inserenta.

I po co Paige jej to przypomina! Rosie sama dobrze pamiętała wściekłość faceta i usilne zabiegi szefa działu reklamy, który starał się załagodzić nieszczęsny... incydent. Wygrał wreszcie, za cenę sześciu miesięcy bezpłatnej reklamy ze słowem „Afrodyta”. Cud, że Rosie nie straciła wtedy pracy.

Paige nadal postukiwała paznokciem w biurko.

- Wygląda na to, że masz słabość do bogiń.

Jeżeli Rosie przyzna się, że przyszła na to spotkanie jako Artemida, może od razu pożegnać się z awansem. Uśmiechnęła się tylko, nawet nie próbując wyjaśniać Paige, jak bardzo kobieta potrzebuje bogiń, jeżeli musi sprostać życiu na odludnej farmie w towarzystwie czterech braci osiłków.

- Prawdziwy Mężczyzna nie jest boginią - zauważyła Paige sucho.

- Nie - zgodziła się Rosie, myśląc, że i tak Atena byłaby lepsza na tym stanowisku.

- Ponadto jest to praca dla doświadczonego tekściarza...  
Bądź silna jak Artemida, rozkazała Rosie sama sobie.

- Jestem doświadczoną redaktorką - powiedziała, modląc się, by Paige nie dosłyszała zadyszki w jej głosie. - Skończyłam dziennikarstwo. Podczas studiów pracowałam dwa lata w gazecie studenckiej, przez ostatni rok jako wydawca. Potem byłam zatrudniona w gazecie lokalnej. Zaczęłam jako goniec, własną pracą osiągnęłam najpierw stanowisko lektorki, a wreszcie samodzielnej publicystki. W sumie dziesięć lat. To chyba niemało, nawet jak na pani wymagania.

Rosie wcale nie chciała powiedzieć tych ostatnich słów, powiedziały się same, już się stało. I się nie odstanie. Mama miała rację, mam niewyparzony język. Jedynym sposobem było zagadać to nieszczęsne zdanie, licząc na to, że Paige taktownie o nim zapomni.

- To prawda, w „Prawdziwym Mężczyźnie” zdarzyły mi się fopa... - Jedno spojrzenie na twarz Paige wystarczyło, by Rosie zrozumiała, że próba popisania się francuszczyzną też wyszła fatalnie.

- Fo co?

- Błędy - wyjaśniła Rosie pokornie.

- Ach - potaknęła Paige. - Faux pas. Zmaltretowawszy francuski, resztę postanowiła wyłożyć w prostej i zrozumiałej angielszczyźnie.

- Tak bardzo chciałam się pokazać od najlepszej strony, że chwyciłam się tematu, który naprawdę dobrze znam, czyli bogiń starożytnych. - A spojrzawszy w twarz Paige, dodała: - Wiem, spaprałam oba zadania. Ale nauczyłam się na własnych błędach. Przeanalizowałam roczniki „Prawdziwego Mężczyzny”, zorientowałam się, dla jakiego typu czytelników pismo powstaje i jakie są oczekiwania odbiorców. Osiemdziesiąt pięć procent naszych czytelników stanowią

kobiety, w większości przed trzydziestką, czyli w moim przedziale wiekowym. Co oznacza, że posiadam kwalifikacje, umożliwiające mi łatwe nawiązanie kontaktu z osobami, dla których będę pisała.

Rosie przerwała na chwilę, tak by Paige mogła poczuć wagę tej ostatniej wypowiedzi.

- Oczywiście, pewną niedogodnością jest fakt, że nie jestem mężczyzną...

Paige uniosła brew do góry.

- .. .ale przez ostatnie siedem miesięcy pracowałam w jednym pokoju z Williamem Claringtonem. Słyszałam wszystko, co mówił, korygowałam większość jego tekstów. Myślę, że potrafię wczuć się w jego rolę do czasu, aż redakcja znajdzie odpowiedniego pracownika.

Wydawało się, że Paige słucha z zainteresowaniem. Chyba tak było, bo nagle spojrzała Rosie prosto w oczy.

- Jesteś głodna - powiedziała. - A to mi się podoba. Pakujesz nos w żarna i uczysz się na błędach. To mi się też podoba. Zawrzemy umowę. Zostaniesz zastępczym Prawdziwym Mężczyzną na dwóch warunkach. Po pierwsze, w rubryce nie ma prawa znaleźć się nawet najmniejsza wzmianka o boginiach... - Rosie kiwnęła głową. - A odpowiedzi muszą być formułowane tak, jakby nadal pisał je William Clarington, Nasi czytelnicy, a zwłaszcza wzrastająca liczba mężczyzn, nie mają prawa się domyślić, że za osobą odpowiadającego ukrywa się kobieta. Myślę, że na tych warunkach możesz przez parę tygodni z powodzeniem grać rolę Prawdziwego Mężczyzny. OK?

- Tak - szepnęła Rosie, nie dowierzając własnemu głosowi. Paige uśmiechnęła się do niej.

- Twoje kilka minut minęło.

Rosie przefrunęła przez dywan, przez sekretariat obok Jerome'a i przez korytarz. Własnymi siłami zdobyła

zastępstwo! Żegnaj, „pracy kanalarza”, witaj, domu pracy twórczej!

Ben siedział w holu, zastanawiając się, czy Rosie w ogóle pamięta o ich spotkaniu w południe, które minęło dziesięć minut temu. Gdyby nie muzyczka, nie miałby właściwie nic przeciwko chwili oczekiwania. Wyrwał się z biura, gdzie Meredith spędziła resztę przedpołudnia, studiując jego starą biurową kanapę, tak jakby to na niej właśnie Freud odkrył psychoanalizę, jednakże, biorąc pod uwagę spóźnienie Rosie, może trzeba ją było zapytać, gdzie pracuje. Wszystko, co na razie wiedział, ograniczało się do imienia, bo nawet nazwiska nie zapamiętał. Mimo wojowniczej postawy w kwestii miejsca parkingowego Rosie zrobiła na nim sympatyczne wrażenie. Uśmiechnął się na wspomnienie jej ubłoconych włosów i butów. Większość kobiet drżała na myśl, że mogłyby mieć rozmazaną szminkę, a Rosie wygląda, jakby właśnie czyściła rury i wcale się tym nie przejmuje.

Rosie weszła do holu. Na widok Bena zatrzymała się i wykrztusiła nieco zadyszana:

- Przepraszam za spóźnienie...

Nerwowo oblizła wargi, a Ben zastanowił się przez moment, czy Rosie była zdenerwowana spóźnieniem czy spotkaniem z nim.

- Nic nie szkodzi. Napawałem się chwilą wolną od superbyłych.

- Superby...?

- Ach, nic takiego - odparł pospiesznie i rzucił okiem na zegarek. - Chodźmy. Pan Potter, administrator, czeka na nas już co najmniej od kwadransa.

Rosie przytaknęła, jednocześnie lustrując bluzkę, która znowu wystawała ze spódnicy. Mieszka sama, zdecydował Ben w duchu, i nie ma nikogo, kto by jej powiedział, że wygląda, jakby się ubierała na wietrze.

- Czy to orkiestrowa wersja Rolling Stonesów? - zapytała. Ben rzucił okiem w kierunku głośników zamontowanych w suficie.

- Niestety tak.

- „Lets spend the night together” - powiedziała Rosie. - Spędźmy razem noc.

- W porządku, ale najpierw chodźmy do pana Pottera - odparł Ben i zawstydził się. Nie powinien był tego powiedzieć, ale miał ochotę trochę podroczyć się z błotną panną.

Wzruszyła ramionami, ale Ben zauważył, że się zaczerwieniła. A może naprawdę nie miałyby nic przeciwko temu, by spędzić z nim noc? Stwierdził też, że zmyła błoto z czoła i zdjęła pochłapane rajstopy.

- Miałam na myśli piosenkę. Weszli do biura.

- O, już pani jest - powiedział Potter, zakładając okulary o bardzo grubych szklach. - Pan Taylor mówił mi, że są jakieś problemy z miejscami parkingowymi.

- Tak - powiedziała Rosie. - On ukradł moje miejsce.

I zanim Ben zdążył zaprotestować, Rosie rozpoczęła szczegółową relację o zdarzeniach dzisiejszego poranka. Zbyt szczegółową, jeżeli sądzić po zdumionym spojrzeniu Pottera.

Ben tymczasem przyglądał się swej parkingowej bogini sprawiedliwości. Miała jasną, przejrzystą karnację, jak dziecko umyte zwykłą wodą i mocno wyszorowane szczotką. Kobiety wydają majątek na kosmetyki. Patrzenie na Rosie cofnęło go w czasie, w epokę, gdy kobieta po prostu się myła.

Różowa cera Rosie przyjemnie kontrastowała z masą kasztanowych, kręconych włosów. Puszyste loki prześwietlone słońcem wyglądały jak anielska aureola. Ale czy można porównywać parkingową złośnicę do aniołka? Chociaż, kto wie. Może to upadły anioł. Upadły dziś rano,

stąd te ślady błota tu i ówdzie. Rosie tymczasem opowiadała dalej.

- Więc, jak już przeszłam osiem ulic, odwiedziłam pana Taylora w jego biurze...

- Osiem? - zapytał Ben. - Nie przypominam sobie, by mówiła pani przedtem o ośmiu ulicach. - Upadły anioł mógł się myć czystą wodą i mydłem, ale na poziomie używania słów jego prostota była już nieco mniej prosta.

- Ma pan rację - powiedziała zgodnie Rosie. - Naprawdę było ich dziesięć...

Historia toczyła się dalej. Ma fantazję, pomyślał Ben, jak Szeherezada. Ale zamiast korygować nieścisłości, Ben postanowił odczekać. Niech panna Anioł skończy, a wtedy on pokaże zaświadczenie.

Siedząc tuż obok Rosie, stwierdził, że nie malowała się, a jedynym śladem makijażu była delikatna smuga szminki. Ciemne, gęste rzęsy były równie naturalne jak brązowe oczy i kasztanowe włosy. Nos lekko zadarty, usta wypukłe. Rosie przypominała Benowi jego ulubiony portret Maneta, przedstawiający nieco tajemniczą, ciemnowłosą kobietę o ustach jak do śmiechu czy... do pocałunku.

Dziwne. Usta Rosie zachowywały ten śliczny kształt nawet wtedy, gdy mówiła, co robiła zresztą przez cały czas.

- Co pan na to? - zapytał Potter. Patrzył na Bena dość surowo, co boleśnie przypomniało mu szkolne czasy. Ilekroć w czasie lekcji oddawał się fantazjom na temat którejś z koleżanek, prędzej czy później przywoływał go do porządku ostry głos nauczyciela. A Ben musiał natychmiast pozbierać myśli, żeby w ogóle uprzytomnić sobie, o co chodzi. Na szczęście zawsze udawało mu się złapać wątek. Nic dziwnego, że został prawnikiem. A uwzględniając jego podziw dla urody kobiecej, nic dziwnego, że wylądował na Wenus.



- Ta młoda dama twierdzi, że ukradł pan jej miejsce parkingowe.

- Jej miejsce? - zdziwił się Ben. - Moje. Wynająłem je wczoraj, na co mam pisemny dowód. - Wyjął kwit zapłaty, ganiąc się jednocześnie za to, że pozwolił, by para miękkich i słodkich kobiecych warg odwiodła go od zasadniczego tematu.

Potter przeczytał dokument, pokiwał głową i spojrzał pytająco na Rosie.

- C1001 - powiedział. - Miejsce, o którym mówimy, zostało wynajęte panu Taylorowi.

Rosie zaczerwieniła się.

- Niemożliwe - powiedziała gwałtownie. - Proszę sprawdzić w rejestrze, że to ja dokonałam wczoraj transakcji wynajmu. Zaświadczenie mam w domu.

Potter postukał w klawiaturę komputera i odczytał zapis.

- No cóż - powiedział z ociąganiem - wygląda na to, że rzeczywiście pani też wynajęła wczoraj rzeczony miejsce. Moja sekretarka omyłkowo wynajęła je dwukrotnie.

- Czy to legalne? - zapytała Rosie, spoglądając przy tym na Bena tak, jakby oczekiwała, że stanie w jej obronie. Jemu zaś podobało się, że Rosie potrzebuje jego pomocy. Zawsze lubił, gdy atrakcyjne kobiety potrzebowały jego pomocy. Nigdy nie opuści Wenus, jeżeli nie zacznie wreszcie działać zdecydowanie.

- Może - powiedział Ben - należy przyznać miejsce tej osobie, która zapłaciła pierwsza.

Potter pokręcił głową.

- Zapis godziny w komputerze nie może być wiążący. Mogło się zdarzyć, że trzeba było coś jeszcze poprawić, co oczywiście zmieniło też zapisaną godzinę sporządzenia dokumentu. Naturalnie, przyznaję, że jest to ewidentnie nasza wina, ale niestety nie mamy żadnego wolnego miejsca

parkingowego, nie jesteśmy więc w stanie zaspokoić roszczeń obojga państwa.

- Ale jakoś musi pan to rozwiązać - powiedziała Rosie, w podnieceniu wierząc się na krześle jak mała dziewczynka.

Potter ponownie pokręcił głową.

- Nie jestem Najwyższym Sędzią, nie mogę zadecydować, że ta osoba ma rację, a ta nie.

- Uważam, że pan Taylor powinien ustąpić mi miejsca - zadecydowała Rosie.

- Dlaczego? - zapytał Ben.

- Bo go potrzebuję. To miejsce jest jedyną gwarancją, że będę na czas w pracy.

- Czy to znaczy - zapytał Ben z przekąsem - że gdyby pani zaparkowała dziś samochód koło biura, nie spóźniłaby się pani na nasze spotkanie o dwunastej?

- Rano - mknęła Rosie. - W ten sposób będę rano na czas w pracy. Pan jest właścicielem kancelarii i sam pan decyduje, kiedy zacznie pracę. A ja muszę być w biurze o określonej godzinie, co sprawia, że absolutnie potrzebuję miejsca, gdzie mogę rano zaparkować samochód.

Przewrotna logika, pomyślał Ben. Nie zdziwił się jednak. Znał ją ze stosunków ze wszystkimi swoimi byłymi kobietami, z czasów, kiedy jeszcze nie były byłe. Dobry, uczynny Ben, który zawsze ustąpi, żeby tylko kobieta mogła postawić na swoim. Był już znużony rolą wiecznego opiekuna planety Wenus, na której zamieszkała właśnie nowa obywatelka - panna Rosie Błotny Anioł.

- Ja też niezbędnie potrzebuję tego miejsca - odparł. - Dla siebie i dla moich klientów. Ma pani klientów? - zwrócił się do Rosie. Otworzyła te swoje słodkie i zmysłowe usta, chcąc coś odpowiedzieć, ale Ben nie dopuścił jej do głosu. - Moi klienci denerwują się, gdy nie mogą zaparkować w pobliżu kancelarii. A jeżeli tracę klienta, to tracę zarazem zarobek.

Czyli - dodał z naciskiem - rzeczony miejsce implikuje, że albo pani nie będzie się spóźniała do pracy, albo ja stracę zarobki.

Gdyby sytuacja nie była tak idiotyczna, Bena rozbawiłby widok ich dwojga nadętych jak koguty bojowe. Rosie mierzyła go wściekłym wzrokiem.

- Jednak będzie pan musiał zostać Najwyższym Sędzią - powiedziała Rosie do Pottera, nie odrywając spojrzenia od oczu Bena. - Niech pan zadecyduje.

Potter wstał i znużonym gestem poprawił okulary.

- Na trzecim piętrze przecieka woda w łazience, a lokator oczekuje, że będę Najwyższym Hydraulikiem. Pracownicy agencji „Love” skarżą się, że klimatyzacja nie chłodzi, tylko mrozi, co spowodowało śmiertelne zejście dwóch cennych tropikalnych rybek w akwarium. Szef agencji jest zdania, że jestem Najwyższym Klimatyzatorem. - Wkładając marynarkę, Potter zakończył swoją wypowiedź. - W porządku. Mój werdykt brzmi, że żadne z państwa nie dostanie tego miejsca.

Oboje patrzyli na niego w osłupiałym milczeniu.

- Nie może pan tego zrobić - zaprotestowała Rosie.

- Owszem, mogę - powiedział Potter, stukając w klawiaturę. - I właśnie to robię.

- Niech pan zaczeka jeszcze moment - powiedział Ben. Jego głos brzmiał zdecydowanie, ale w głębi duszy Ben wiedział, że to tylko profesjonalna rutyna. Prawdziwym mężczyzną był tu Potter, który na pewno mieszka na Marsie. - Może będziemy dzielić to miejsce, dopóki administracja nie znajdzie drugiego.

- Jak mamy się dzielić? - zapytała zirytowana Rosie.

- Co drugi dzień - zaproponował Ben.

Rosie rzuciła przelotne spojrzenie na Pottera.

- Tak będzie chyba fair - powiedziała, zdmuchując lok spadający jej niesfornie na czoło. Rzuciła okiem na zegarek i

wstała. - Niestety mam spotkanie i muszę już iść. Może ustalimy resztę szczegółów po południu?

Była słodka. Stanowczo zbyt słodka.

- Po południu muszę być w sądzie.

- A zatem jutro. Zaparkuję i przyjdę do pana za piętnaście ósma.

Ben też wstał.

- Dobrze - powiedział Potter. - Czyli znaleźliśmy jakieś rozwiązanie. Pod koniec tygodnia prześlemy państwu nadpłacony czynsz. Do widzenia.

Ben i Rosie wyszli do holu.

- Jutro rano, za piętnaście ósma - powiedział Ben. - Tylko proszę przyjść punktualnie, bo o ósmej mam umówione spotkanie.

- Za piętnaście ósma - potwierdziła Rosie. Zaczynamy tę samą grę, pomyślała, idąc w kierunku drzwi wyjściowych.

- A nie za pięć ósma! - zawołał jeszcze Ben.

Ale Ben miał rację. Rosie spóźniła się dziś i nie powinna spóźnić się jutro.

- Wiem, że jest różnica między pięć i piętnaście! - odkrzyknęła, wychodząc.

Różnica, pomyślał Ben. On też wiedział, że jest różnica między Rosie a innymi kobietami. Rosie była jak europejskie kobiety. Nie używała makijażu, jej uroda była świeża i naturalna, a spod spodu przeświecał blask diamentu. Ben przywołał sam siebie do porządku. Blask diamentu? Chłopie, ta dziewczyna jest nieustraszona w boju. A on sam, znużony latami ustępstw, jakich wymagało od mężczyzny życie na Wenus, był zdecydowany nakreślić na piasku wyraźną linię, dzielącą jego potrzeby od potrzeb wszystkich kobiet. Nie na piasku, poprawił się, na asfalcie. Linię oddzielającą jego prawo do tego cholernego wyasfaltowanego miejsca

parkingowego, prawo, które przeświecająca diamentowym blaskiem Rosie w sposób oczywisty zamierza mu odebrać.

Z głośników dobiegały słodkie dźwięki rozmiękczającej serca muzyczki.

Serce. Wenus. Doprawdy, była najwyższa pora, by Ben zmienił planetę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Hallo - powiedział Ben, wchodząc do biura. Był wykończony popołudniem spędzonym w sądzie. W recepcji Meredith, która wróciła właśnie z zakupów, o czym świadczyły liczne torby i pakunki, porzucone na podłodze, zajęta była mierzeniem kanapy. Ledwie raczyła odpowiedzieć na powitanie. Heather, trzymając słuchawkę wkliniowaną między szczękę i ramię, malowała usta błyszczkiem, przeglądając się w lusterku. Lekki wymach stopy był jej formą odpowiedzi na wejście szefa.

- Wszystko w porządku - dodał niepewnie, salwując się ucieczką w kierunku swojego pokoju. Tak wyglądało jego życie z każdą z nich. Smuga cienia na ekranie ich egzystencji wypełnionej mierzeniem kanap i malowaniem ust. Opadł na fotel za biurkiem, wpatrując się jak urzeczony w pochłoniętą swym zajęciem Meredith. To właśnie musiało się przytrafić temu, jak-mu-tam-Dexterowi. Został namierzony! Bo Meredith potrzebuje kogoś, kogo mogłaby wymierzyć i zmienić mu wystrój...

- Obszarpany, beznadziejny starość - zawyrokowała Meredith, podnosząc się z podłogi. Metalowa calówka zwinęła się samorzutnie, wydając syczący dźwięk jak wąż.

Tak, Meredith urządzi każdego mężczyznę na resztę jego obszarpanej, beznadziejnej starości.

- On zawsze się lubował w tym sinym błękicie - dorzuciła Heather zza biurka.

Dwuosobowa superbyła zajęta najlepszym z tematów, czyli Benem.

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie mówiła o mnie, rozmawiając przez telefon! - zawołał Ben w kierunku recepcji, starając się, by jego głos brzmiał naturalnie i pogodnie.

- Rozmawiam z Karłą, a nie z klientem - odkrzyknęła Heather.

Tako rzeczka księżna-kanapa, pomyślał. Jedna zjadła moje kanapki, druga wyrzuca właśnie moją kanapę.

- Nie obchodzi mnie, z kim rozmawiasz. Jesteś w pracy i nie życzę sobie uwag, które mógłby posłyszeć ktoś poważniejszy od twoich przyjaciółek.

- Cześć, kochanie, muszę kończyć - powiedziała Heather i ostentacyjnie odłożyła słuchawkę. - Już lepiej, Beniusiu?

Tak go nazywała od pierwszego spotkania przy kanapkach.

- Lepiej - mruknął.

- Ten siny błękit to błękit francuski - powiedziała Meredith - dominujący kolor pejzażu prowansalskiego...

Ben zamknął oczy. Teraz Meredith wyjedzie z opowieścią o ich podróży poślubnej dziesięć lat temu.

- Podczas naszej podróży poślubnej - powiedziała Meredith, podnosząc głos - Benjamin zakochał się we francuskim błękitcie. Kupował wszystko w tym kolorze, koszule, obrusy, nawet ceramiczną rybę...

Ben tęsknie spojrzał na rybę. Stała na biurku, a on wyobraził sobie, że ryba, wielka i żywa, pływa w błękitnym francuskim morzu, unosząc go na grzbiecie w siną dal, tam gdzie nie ma żadnych byłych i superbyłych. Boska myśl! Odpłynąć!

Wyjął pióro i napisał: Pływam w sinobłękitnym morzu superbyłej...

- Pościel też była tego koloru - wtrąciła się Heather. - Jak w łóżu Sinozębego.

Ben poprawił słowo siny na sinozęby. Pływam w sinozębym morzu superbyłej...

- Heather - powiedziała Meredith - jutro z samego rana przyślę robotników, którzy wyniosą tę kanapę i przy okazji zabiorą też wieszak...

- Zabiję, jeżeli ktokolwiek ruszy mój wieszak! - wrzasnął Ben, ten dobry Ben, który nigdy na nikogo nie krzyczy. Nawet podczas najtrudniejszych rozpraw. I nagle ten dobry Benjamin Lewis Taylor poczuł, jak wstępuje w niego tygrys, zdolny rzucić się na każdego, jeśli ten tylko tknie jego własność. Reakcja była przesadna. Chodziło w końcu tylko o stary wieszak na płaszcze, ale jeżeli Meredith ma prawo przenosić swoje uczucia na meble, to on też może.

Pomarańczowe usta Meredith wyduły się karcąco, ułożywszy się jak rozżarzone „o” w zdaniu „Och, jakież maniery”, a błyszczące wargi Heather wyglądały jak „co” w pytaniu „co?”. I chociaż żadna z nich nie powiedziała ani słowa, Ben znał je tak dobrze, że słyszał, co mówią, nawet gdy nic nie mówiły. Chciał uraczyć je obie straszliwą filipiką, ale zamiast tego powiedział tylko:

- Jest wpół do piątej, fajrant. - A potem, specjalnie do Heather: - Nie musisz odrabiać spóźnienia. Do jutra. - I specjalnie do Meredith: - Kanapa jest twoja, wieszak mój.

Moje, twoje. Prawo własności zawsze ciążyło nad naszym wspólnym życiem, pomyślał Ben, chociaż znacznie częściej rzeczy były twoje, twoje, twoje.

Zrobiło się przeraźliwie cicho. Ben ukradkiem spojrzał w kierunku recepcji. Obie kobiety zastygły w bezruchu, zdumione jego gwałtownym wybuchem. Ben wymownie pokazał na zegar. Heather wyszła, stukając wysokimi koturnami. Meredith zrobiła kilka kroków w kierunku Bena i zatrzymała się. Wysoko uniesiona brew nadawała jej twarzy władczy wyraz. Wygląda jak gejsza z marnego filmu, pomyślał.

- Wieszak na ubrania wyzionął ducha - powiedziała niskim monotonnym głosem, przeznaczonym na specjalne okazje. - Pochowajmy go i żyjmy dalej.



Meredith była jedyną znaną mu osobą, która problemowi urządzania wnętrza potrafiła nadać wagę spraw na śmierć i życie.

- Wieszak żyje - Ben też zniżył głos - podobnie zresztą jak kanapa, ale kanapę złożyłem ci w ofierze, w chwili gdy trawiła cię nieprzeparata potrzeba dokonania wewnętrznych zmian.

Zielone oczy Meredith zabłyśły.

- A cóż to ma znaczyć?

Ben wyprostował się w fotelu i skrzyżował ręce na piersiach.

- Zawsze jak dotąd odczuwałaś potrzebę dokonania zmian w moim biurze, gdy kończyła się epoka kolejnego mężczyzny w twoim życiu. - Mówiąc to, rozejrzał się po pokoju. - Zobaczmy. Upstrzone krowami pejzaże należą do epoki tego kowboja Curtissa...

- Dlaczego zawsze mówisz o nim kowboj? Curtiss był szefem farmy wypoczynkowej...

- Krzesła w kształcie harpii są spadkiem po Antoine. A może po Beauchampie. Plakat z Jimmym Stewartem i filmowe kubki to czasy Rocky'ego.

- Rocka, a nie Rocky'ego. Bez y.

- Przystrojona piórami i paciorkami metaloplastyka to ten, jak mu tam, Grzmot? Błyskawica?

- Sztorm - prychnęła Meredith.

- Ach, Sztorm, rzeczywiście. Jak jego czas się skończył, odczuwałaś burzliwą potrzebę zerwania tapet. Na szczęście administracja nie wydała zezwolenia na remont.

- Czynie ci przysługę, zabierając stąd tę starą kanapę - powiedziała Meredith najbardziej wyniosłym z licznych głosów, jakimi dysponowała. - Błękit francuski dawno wyszedł z mody.

- Ten kolor nazywa się indygo, a jeżeli rzeczywiście wyszedł z mody, to powiedzmy sobie, że styl pomarańczowej gejszy jest równie niemodny.

Strzał był celny, bo jedna z pałeczek do ryżu wetkniętych we włosy Meredith aż zadrżała z oburzenia. Udało mu się, choć wcale tego nie chciał. Zamierzał jej trochę dokuczyć, a zachował się podle. Powinien ją udobruchać. Przez chwilę rozważał myśl, czyby jednak nie oddać jej tego nieszczęsnego wieszaka, ale w porę się powstrzymał.

Zawsze tak jest, pomyślał ze złością. Składam kawałki życia na ołtarzu świętego spokoju. Owszem, Meredith poczuła się dotknięta, ale kiedyś musi się nauczyć, jak ma sobie radzić w życiu, bez wchodzenia z butami w jego sprawy. Patrzyli na siebie w milczeniu tak przeraźliwie długo, że Ben mógłby przysiąc, iż jego prawe oko straciło zdolność widzenia. Ale naprawdę - naprawdę! - Ben miał powyżej uszu wiecznego ustępowania. Odmawiam, pomyślał. Odmawiam i już. Poczuł, że jest gotowy walczyć do upadłego. O kanapę, o wieszak.

Czy to możliwe, że oczy Meredith zaszyły łzami?

Ben poczuł, że cofa się w dzieciństwo i młodość, w czasy, gdy głównym jego obowiązkiem była opiekuńcza czułość w stosunku do matki i młodszej siostry. Ten kochany, dobry Ben, który po prostu nie mógł znieść widoku kobiecych łez. OK, nie ma wyjścia, trzeba zaproponować jakiś kompromis.

- A może dałoby się odnowić tę kanapę, zamiast ją wyrzucać? - zapytał.

- Jest otluszczona.

- No to zaaplikujmy jej dietę.

Pomarańczowe usta Meredith wciąż jeszcze drżały tłumionym szlochem, ale już zaczynały się uśmiechać. Prawdę mówiąc, zawsze najbardziej mu się podobała, gdy nie była taka wściekle przebojowa. Wyglądała młodziej, spokojniej.

Ben założyłby się o wieszak na ubrania, że ten-jak-mu-tam-Dexter nieczęsto widywał uśmiechniętą Meredith.

- Przyniosę jutro kilka próbek - powiedziała. - Są takie nowe kolory, cudo, naprawdę kochane, kochanie.

Wyszła niemal natychmiast, a Ben spędził dłuższą chwilę, zastanawiając się, które „kochanie” było skierowane do niego, a które do próbek. Odetchnął głęboko. Nareszcie. Sam. Bez byłej żony. Bez byłej kochanki. Tylko on i jego biuro, rozpisane na miłosne tematy wnętrzarskie. On i kanapa, o którą walczył prawie że do pierwszej krwi. Prawdę mówiąc, aż tak mu na niej nie zależało, ale dobrze było choć przez chwilę poczuć dreszcz emocji. W jakiegokolwiek sprawie. Nawet w sprawie kanapy! Od dawna nic już nie budziło w nim dreszczu emocji. Nic ani nikt. Do diabła z dreszczami emocji. Ben nie był w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatnio było mu po prostu przyjemnie. Podczas spotkań z Mattem? Szkoda, że Matt, taki znakomity prawnik, a jednocześnie taki luzak, wybrał luzactwo zamiast prawa. Rok temu zlikwidował kancelarię i wyjechał ze swoją przyszłą żoną do Kalifornii hodować pszczoły. A wieczorami pracuje jako barman. Matt twierdził, że ludzie dzielą się tak jak regiony gospodarcze na typy A, B i C. On sam porzucił typ A i stał się typem B.

Zabawne, ale prawdziwe. Matt przestał być efektywnym w działaniu prawnikiem i stał się swojskim kompanem, a Ben został tam, gdzie był - w sądzie, w kancelarii... i na superbyłej. Przytłoczony kobiecością. Jedyne Max reprezentował jeszcze w jego życiu pierwiastek męski, ale Max był psem. Wieczorami Ben pijał drinka i gawędził z Maxem, ale spaniel to trochę za mało jak na prawdziwego kumpla prawdziwego mężczyzny.

Potrzebuję kumpla. Ale nie znajdę go, mieszkając stale na Wenus. Pora na przeprowadzkę. Na Marsa, powiedział, myśląc o tych książkach, które czytywała Heather. Ich autor,

niejaki Grey, był psychologiem i robił pieniądze na tym, że mówił kobietom, jak mają być kobiece, a mężczyznom, żeby wrócili na Marsa. Szkoda, że Ben nie mógł wysłać e-maila do Johna Greya, bo Grey był zbyt ważny i zbyt odległy, żeby pomóc Benowi. Ale może ten facet z „Prawdziwego Mężczyzny”? Ben spojrzął na swoje zapiski. Pływam w sinozębym morzu superbyłej... OK, chłopie, powiedział sam do siebie, w końcu ktoś pisuje do tego Prawdziwego Mężczyzny. Najróżniejsi faceci. Drwale. Lekarze. Prawdziwy Mężczyzna brzmi trochę przesadnie, ale odpowiedzi, jakich udziela, są sensowne.

Ben spojrzął w kierunku komputera. Znajdzie w Internecie stronę „Prawdziwego Mężczyzny” i wyśle e-mail. Choć nie, lepiej nie. Heather odbiera jego e-maile. Wygodne rozwiązanie w sprawach zawodowych. Tyle tylko, że Ben nie może tego zrobić prywatnie. Nie dość, że Heather go przeczyta, ale jeszcze opowie Meredith. Ben westchnął. Znowu popatrzył na swoje zapiski. Pływam w sinozębym morzu superbyłej.... Dobrze, zdecydował, w końcu wciąż jeszcze istnieją staroświeckie listy, pisane na papierze i wysyłane pocztą.

- Gdzie jest Prawdziwy Mężczyzna? - zapytał Seth, wymachując kopertą.

- Tym razem niebieskie? - zapytała Rosie. Króciutko ostrzyżone włosy Seta były sinobłękitne. - Jak się wreszcie przyzwyczaiłam do strażackiej czerwieni, to farbujesz się na sino.

- To kolor świateł alarmowych w radiowozach.

- Hm. Bardzo... miejskie...

- To gdzie on jest? - zapytał Seth. Rosie milczała. - No, ty, gdzie jest ten bubek?

- Właśnie z nim rozmawiasz - powiedziała wreszcie.

- Hej, nie żartuj. Jesteś korektorką i siedzisz o, tam. - Seth machnął ręką w kierunku biurka Rosie.

Dmuchnęła w niesforny lok, spadający jej na czoło.

- Awansowałam. - Zawahała się przez moment. - Na kilka tygodni, zanim góra znajdzie nowego Prawdziwego Mężczyznę. Na razie ja jestem bubkiem.

Seth wydał przeciągły gwizd zdumienia, a może podziwu.

- Uuuu! Faceci nie będą zachwyceni.

- Faceci nie będą wiedzieli.

Seth zmarszczył jasne brwi. W zestawieniu z niebieskimi włosami wyglądały dość mdło.

- Faceci nie będą wiedzieli? Chyba żartujesz. Laski piszą inaczej niż...

- .. niż bubki - dokończyła Rosie, prostując się stanowczo.

- Naprawdę?

Seth zawahał się.

- Laski... - zaczął, ale jedno spojrzenie na zdecydowaną minę Rosie wystarczyło, żeby się poprawił. - Kobiety są kwieciste. No wiesz, używają takich wyrazów jak „drżący”, „delikatny”, „drażliwy”.

- OK. Nie będę używała słów na „d”. Co dalej?

- Drażą. Od samego początku do samego końca. Mają za dużo słów. Za dużo i za dużych.

- OK. Popracuję nad drażeniem. Każdej prozie dobrze robi, jak ją poskracać. Ale nie wiem, czy zdołam się powstrzymać przed używaniem dużych słów.

- A jeśli cię ktoś przyuważy? - zapytał Seth, przysiadając na biurku Claringtona. - Szykowne - powiedział, biorąc do ręki wielkie mosiężne spinacze, jakich używał poprzedni właściciel biurka

- Coś ty! Jeśli nawet jakiś bubek postanowi spotkać się koniecznie z Prawdziwym Mężczyzną, to przecież nie stanie z nagłą przed tym oto biurkiem? Ktoś z redakcji musiałby się

wygadać. - Rosie popatrzyła ostro na Seta. - A to się nigdy nie zdarzy, chyba że ten ktoś chce spędzić całe życie w „kanale”.

- „Kanał” wsysa i wysysa - powiedział Seth.

- Człowieku. To moja jedyna szansa, żeby się wyrwać z tej przeklętej kanalizacji.

Seth przestał podrzucać spinacze. Wstał i wyciągnął ku Rosie płasko otwartą dłoń. Znak męskiego przymierza. Rosie też wstała. Uderzenie rąk symbolicznie przypieczętowało jej awans.

- Ostra z ciebie laska - powiedział. - To znaczy, chciałem powiedzieć, baba z jajami.

Rosie zawahała się, ale przyjęła ocenę Seta, tak jak na to zasługiwała. Jako najwyższy komplement, wyraz podziwu dla dziewczyny, która pokonała „kanał” i miała odwagę wejść w buty faceta.

- Tootsie na odwrót, co?

- Nie będę się przebierać.

- Superhiper - powiedział Seth. - Dasz mi takie cacko? - Rosie popatrzyła na przesadnie wielkie złociste spinacze.

- Spoko.

Seth. zaczepił spinacz o pasek.

- Grzywa - powiedział. - Prawdziwy Mężczyzna!

Ciekawe, pomyślała Rosie co by powiedział Dillon na widok takiego Seta. Jej najstarszy brat nigdy w życiu nie opuścił rodzinnej farmy i nie znał nawet normalnego życia wielkomiejskiego, a co dopiero takich jego wariantów, jak gej z ufarbowanymi na niebiesko włosami i spinaczem wielkości spodka zatkniętym za pasek obcisłych skórzanych spodni. Dillon i Seth byli jak z dwu odmiennych planet.

Pierwszy list do Rosie jako Prawdziwego Mężczyzny. Otworzyła kopertę z ręcznie napisanym adresem i uśmiechnęła się. Staromodny pan, pomyślała. Cały ranek

spędziła na czytaniu dziesiątków e-maili do realman@realmag.com. Nic dziwnego, że prawdziwy Prawdziwy Mężczyzna uciekł z grającą na bongo Bum Bum. Udzieliwszy dziesiątków odpowiedzi na pytania mężczyzn, jak żyć, Prawdziwy Mężczyzna postanowił udzielić odpowiedzi samemu sobie. Przelotnie mignęła jej wizja Williama i Bum Bum oddających się jakimś nieznanym jej orgiom w tropikalnym raju. Rosie przeciągnęła się jak kotka i nagle, uderzona nową myślą, wyprostowała się na krześle. Przelotna wizja bowiem, jaką podsunęła jej wyobraźnia, nie dotyczyła wcale Williama i Bum Bum. Pod palmami zobaczyła... Bena i Rosie!

Ja i Ben?! Rozpustnie tarzający się w piasku?!

Rosie otworzyła oczy i otrząsnęła się ze zgrozą. To to biurko, pomyślała, dotykając niepewnie dębowego blatu. Odbieram wibracje Bum Bum. Panno Rosie Myers, powiedziała surowo, proszę się skoncentrować. OK. Odebrała przesłanie i mogła dobrze wczuć się w Williama zafascynowanego striptizerką. Znacznie poważniejszą zagadką była kwestia, co, do diabła, skłoniło młodą, zmysłową kobietę do zainteresowania się Williamem? Być może on wcale nie był takim starym nudziarzem. Może Bum Bum odkryła jego prawdziwe ja, głęboko skryte prawdziwe ja prawdziwego mężczyzny. Jak Isaak Denisen, czyli kobiety na farmerskie życie w Afryce i pisanie pod męskim pseudonimem. Rosie pewnie już z dziesięć razy widziała film „Pożegnanie z Afryką”, nakręcony na podstawie pamiętników Karen.

Rozcięła kopertę tak energicznie, że omal się nie skaleczyła. Skoncentruj się, Rosie, powiedziała jeszcze raz. Tak, teraz wiedziała. Nie potrzebowała wsparcia Artemidy Łowczyni, lecz chłodnej, trzeźwo myślącej Ateny.

Straszny charakter, zawyrokowała Rosie, patrząc na bazgrały, dostarczone jej przez Seta, ale szybko złagodziła

sąd. Może facet się spieszył. Znała ten stan, w jej przypadku permanentny. Nieco przyjaźniej nastawiona do nieznanego przeczytała pierwsze, nader dziwne zdanie. „Pływam w sinożębym morzu superbyłej... byłej żony i byłej kochanki”. Przez chwilę Rosie zastanowiła się, czy zwariowała, czy rzeczywiście od rana prześladuje ją siny błękit. W siną dal, w siną dal... zanuciła. Ale jej skojarzenia na pewno sięgały głębiej, do świata bogiń, gdzie błękit jest symbolem uduchowienia, harmonii, księżyca, mądrości i kosmicznej podświadomości. Ale może po prostu facet czuje bluesa, jest w depresji i rozterce. Czytała dalej.

„Dlaczego kobiety tyle żądają? Wyrastałem wśród kobiet. Musiałem być ich kucharzem, pielęgniarzem i spadochroniarzem. Wiecznym pocieraczem...”

Co!? Słowo wydało się dziwne nie tylko Rosie, bo nie skreślając go, facet dopisał obok poprawną wersję- „pocieszaczem”. Pocieszaczem? Chyba pocieszycielem. Ale niech mu będzie.

„... .pocieszaczem matki i siostry. To było szesnaście lat temu, ale nic się od tego czasu nie zmieniło. Nadal jestem miłym facetem. Miłym dla byłej kochanki, za którą mam ponosić odpowiedzialność, i dla byłej żony, która, po kolejnej rozterce miłosnej, po raz kolejny postanowiła zmienić wystrój mojego biura. A kolejna kobieta próbuje zagarnąć kolejny kawałek mojej przestrzeni. Sam pan widzi. Wszystko idzie tą samą koleją. Moja była kochanka ma dostęp do moich aktualnych e-maili, dlatego proszę o odpowiedź zwykłym listem na adres skrytki pocztowej. PS. Chciałbym zmienić adres z Wenus na Marsa”. Podpis nieczytelny.

Lubi rzymskich bogów. Ona wprawdzie wołała greckie boginie, ale było to jednak pewne braterstwo ducha. Albo siostrzeństwo... Mimo tego wszystkiego, co gość napisał, Rosie była pewna, że ma do czynienia z człowiekiem,



potrzebującym wstawiennictwa bogiń. Ciekawe, jak by zareagowała Paige, gdyby Rosie jej to powiedziała?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wieczorem Ben musiał jeszcze zjeść kolację z klientem, przyjechał więc do domu dopiero koło dziewiątej. Mieszkał w niedużym domku na przedmieściu Chicago. Jedyne miejsce na świecie, gdzie może wejść i - nie licząc psa - być sam! Bez byłych żon i kochanek. I bez kolejnych bab, usiłujących pozbawić go jego własności.

Garaż nastroił go melancholijnie. Na regałach leżały bowiem nie tylko porządnie poukładane narzędzia, ale także pozostałości jego dawnego życia. Porzucone zajęcia i rozrywki. Rękawice baseballowe, deskorolka, zniszczony futerał z trąbką. Pod sufitem wisiał zakurzony kajak. Dziewięć, dziesięć lat temu pasjonowało go pływanie po górskich rzekach. Rozbryzgi zimnej wody, gorący blask słońca, uczucie radości. Planował wtedy niezwykle spływy na Nowej Gwinei. W Afryce. Wiosłować i fotografować. Nie tylko kajak, również te plany pokryła gruba warstwa kurzu. Dokąd odeszły jego młodzieńcze marzenia? Do Milwaukeee?

Wyszedł tylnymi drzwiami prosto do kuchni, wypełnionej cichą muzyką. Zawsze zostawiał psu grające radio. Po południu włączały się też automatycznie światła w pokojach. Pies nie wybiegł mu na powitanie.

- Max! - zawołał w kierunku wnętrza domu. - Max! Nie było go. Ben otworzył drzwi do salonu.

- Maxwell!?

Gdzieś z głębi dobiegł go wreszcie jakiś dźwięk. Stuk, stuk. To nie psie pazury...

- Nie, kochanie, to nie Max, to ja - powiedziała Meredith. Stała w teatralnej pozie pośrodku pokoju i uśmiechała się promiennie. Człowiek nie ma przecież aż tylu zębów, pomyślał odruchowo Ben na widok tego wściekle błyszczącego uśmiechu.

- Jak się tu znalazłaś? - Oczywiście duszy ujrzał Meredith wycinającą diamentowym pierścieniem- ogonkiem szklane drzwi do ogrodu.

- Nie będzie „hallo” ani „jak się masz”? - zapytała. To już było, pomyślał Ben. Gdy Meredith mówiła, jej tysiące zębów mniej rzucało się w oczy.

- Hallo - powiedział. - Potrzebujesz jeszcze jednej kanapy na pocieszenie?

- Ach, kochanie, nie przyszedłam tu po kanapę ani krzesło, ani nawet wieszak na ubrania. - Rozłożyła ręce szerokim filmowym gestem jak Julie Andrews w „Dźwiękach muzyki”.

- Postanowiłam wyremontować ci łazienkę.

Ben patrzył na nią w milczeniu przeraźliwie długo. Zaraz przestane cokolwiek widzieć. To też już było.

- No, powiedz coś - zażądała Meredith, wciąż w hollywoodzkiej pozie z lat pięćdziesiątych.

- Włamałaś się do mojego domu, żeby zrobić remont w łazience? - Nie, tego jeszcze nie było. Złodziej, który nie chce kraść, tylko remontować!

Meredith opuściła wreszcie filmowe ramiona.

- Wcale się nie włamałam - powiedziała urażona. - Użyłam klucza schowanego za cegłą.

- Za cegłą - powtórzył tępo Ben.

- Za trzecią cegłą od lewej, na tarasie.

Ben docenił, że tym razem Meredith nie nazwała jego tarasu patio, co zazwyczaj czyniła z lubością. Ceglany wystrój na zapleczu domu wiązał się z latynoską fazą w życiu jego byłej żony, która zużyła nań nieprzebrane zapasy wszelkiej ceramiki. Był to jej pożegnalny, a raczej porozwodowy podarunek. Podczas rozwodu sąd przyznał jej wszystko, co wspólnie posiadali - dom, antyki, samochód i nawet psa. Boogie był złocistym seterem irlandzkim. Ben ciężko zniósł stratę psa. Ciężej niż całą resztę strat. Boogie był jego

serdecznym kumplem, wiernym towarzyszem wypraw kajakowych i pieszych wędrówek.

Po rozwodzie Ben, bez żony, domu i, co gorsza, psa, przekoczował kilka miesięcy na kanapie w salonie Marta, aż wreszcie znalazł domek, przysłowiowo ciasny i własny. Wtedy właśnie Meredith postanowiła obdarzyć go ceglanym patiem. Bena wzruszył nawet ten gest, dopóki nie odkrył, że kryło się za nim zerwanie z Johnem, ceramikiem artystycznym. Pierwsze z całej serii zerwań, których miał doświadczyć.

- Podczas remontu zawsze trzymaliśmy tam zapasowy klucz, nie pamiętasz?

- No, jesteś wreszcie - powiedział Ben do Masa, który przydreptał do salonu, nieśmiało pomachując ogonkiem. Pierścionkiem, pomyślał Ben.

Pies przywołał Bena do rzeczywistości. Dość tego! Nie może tak być, że ta straszna baba ładuje się, jak chce i kiedy chce, w jego życie. To jest jego życie, jego dom, jego łazienka i jego decyzje!

- Dość tego! - powiedział. - Odczep się od mojej łazienki, dobrze? - Chciał, by wyszło to po męsku i zdecydowanie. - Łazienka mężczyzny jest jego zamkiem!

Max merdał ogonkiem w takt słów Bena.

- Jak chcesz - powiedziała Meredith - ale na dzień dzisiejszy twój zamek potrzebuje nowej... wygodki.

Ben musiał się przez chwilę zastanowić. Wygodka. Drewniany domek w ogrodzie prababci. Co właściwie Meredith ma na myśli? Nagle olśniło go.

- Meredith - warknął - co zrobiłaś z toaletą?

- Twój zamek potrzebuje też nowego prysznicza - zignorowała jego pytanie - i nowych kafelków. Te błękitne w złote ciapki są całkiem demode. No i oczywiście normalnych drzwi, a nie tej przesuwanej harmonijki jak w podrzędnym...

- Do jasnej cholery! Co zrobiłaś z toaletą?!

Meredith uniosła brew do góry. Jedną. To zawsze był niedobry znak.

- Gdy tragarze odkręcili śruby...

- Jacy tragarze?!!!

- Wieczorem hydraulicy nie pracują, ale udało mi się znaleźć facetów, którzy za drobną opłatą zgodzili się wynieść ciężkie rzeczy i przygo...

Ben ruszył w kierunku łazienki. Nie ruszył, pędził. Z tyłu dreptały za nim pazurki Maxa i postukiwały japońskie sandały Meredith.

Zanim dotarli do celu, zdołała mu jeszcze powiedzieć:

- Mieliśmy drobną awarię, rozumiesz. Trzeba było wyłączyć wodę.

Rosie, spocona jak mysz po zwycięsko pokonanej próbie zaparkowania dodge'a w miejscu, w którym nie zmieściłaby się nawet owca, weszła do mieszkania, starannie ryglując drzwi. O cudowna świętości ogniska domowego, pomyślała. W Colby nigdy nie zamykali domu, ale w Chicago było inaczej. W Chicago trzeba było ryglować wszystko, co się dało.

Rosie wrzuciła klucze do hełmu, ustawionego jak miska na stoliku do kawy. Hełm należał do ojca. W Wietnamie. Kiedyś ojciec porozdawał synom różne części swego wojskowego wyposażenia. Nie tyle na pamiątkę, ile w charakterze przestrogi.

Jej nic nie dał. Zaprotestowała. Wyjaśniła, że chociaż jest dziewczyną, też chce dostać coś, co było kiedyś jego własnością i pomogło mu ująć z życiem i szczęśliwie wrócić do domu. Po kilku dniach ojciec wszedł do jej pokoju, podał jej hełm i wyjaśnił, że używał go nie tylko jako ochrony głowy, ale przede wszystkim jako pojemnika na wodę i żarcie dla psa, który był jego najlepszym towarzyszem broni i

uratował mu życie. Rosie pomyślała o ojcu, o jego spokojnym głosie, o sposobie, w jaki mrużył oczy, gdy coś opowiadał, o ciepłym, opiekuńczym geście, gdy klepał ją po głowie. Nigdy nie wypowiedziany inaczej, a przecież znaczący gest miłości.

Klucze wpadły do hełmu, wydając ostry metaliczny dźwięk. Rosie wiedziała, że jeżeli nie wrzuci kluczy do hełmu, rano nie znajdzie ich za żadne skarby świata. Była to zatem kwestia życia i śmierci. Usiadła na kanapie.

Cisza.

To był najtrudniejszy moment całego dnia. Kilka minut po wejściu do cichego i pustego mieszkania. Nie było mamy, ojca, braci. Nikogo nie obchodziło, kiedy Rosie wróciła i jak jej poszło w ciągu dnia. Nikt się nie śmiał, nie pytał, nie sprzeczał. Nikt nie przywoływał jej do porządku, że znowu trzaska drzwiami. I nie było nikogo, komu mogłaby, jak co dzień, przez lata odpowiedzieć, że od jutra się poprawi. W domu jedli o tej porze obiad. Schodzili się wszyscy, bracia z pracy i ze szkoły, ojciec z pola, Rosie z redakcji. Ojciec zasiadał w fotelu, czytał gazetę i jednocześnie oglądał wiadomości w telewizji. Jeżeli informacje się nie zgadzały, głośno oznajmiał wszem i wobec, że znowu „ich” przyłapał. Z kuchni dobiegały zapachy pieczenia lub kurczaków z rusztu. Posiłki były proste i pożywne. Pieczeń z ziemniakami. Kurczęta z ziemniakami. Schab z ziemniakami. I raz na tydzień nieznośny gulasz z resztek. Klopsy, szynka, ser, okrawki pieczeni, makaron, marchew, kawałki szarlotki. Nic się nie marnowało. Gulasz z resztek, zwany resztówką, był bezsprzecznie specjalnością rodziny Myers. Nigdy w życiu Rosie nie przypuszczałyby, że kiedyś zatęskni za „resztówką”. A przecież teraz oddałaby nie wiadomo co, byle tylko zasiąść w ciepłej rodzinnej kuchni za wielkim dębowym stołem i wraz z ojcem i braćmi zgodnie jęknąć na widok żeliwnego gara.

Trrr, trrr.

Rosie nadstawiła uszu jak ogar. Zawsze ta sama zabawa. Gdzie zostawiła telefon? W kuchni? W łazience? Pod kołdrą? W koszu?

Drrr, drrr.

Muszę się wreszcie nauczyć odkładać telefon na jedno i to samo miejsce, pomyślała, pełna dobrych chęci, przewracając poduszki na kanapie. Nie ma. Poganiana dzwonkiem grzebała rozpaczliwie w stercie gazet. Jest!

- Halo?

- Rosikosi? - zapytał Dillon po drugiej stronie. - Jak ci leci, nasza wielkowiejska panno?

- Zackniło mi się za mamina „resztówką”.

- Jezu, tak źle?!

- Naprawdę to nie - zachichotała Rosie - ale czasami, w złych momentach.

- Mamina „resztówka” może cię przyprawić o złe momenty w zupełnie innych dziedzinach. Posłuchaj, siostrzyczko, jeśli naprawdę tak bardzo ci brakuje tej wspaniałej potrawy, chętnie podeślemy ci garnczek. Cały!

Rosie roześmiała się.

- Dziękuję, dziękuję. To była chwila słabości, a nie życzenie, domagające się spełnienia. A tak w ogóle? Stało się coś? Zazwyczaj dzwonicz w sobotę rano.

W każdą sobotę rano, dodała w duchu. Punktualnie o ósmej. Rosie chciała wierzyć, że jej brat wykazywał troskę o jej bezpieczeństwo. Ale wiedziała, że Dillon po prostu sprawdza, czy Rosie nocuje w domu. Po prawdzie nie tylko Dillon. Wszyscy czterej bracia dzwonili z regularnością zegarka. Ale Rosie nie była na nich zła. Byli nadopiekuńczy, ale wyrażali w ten sposób swoją miłość do niej. Chcieli trzymać nad nią pieczę, bo wciąż była ich malutką siostrzyczką.

- Pomyślałem - powiedział Dillon - że może przyda ci się drobna sugestia, w razie gdybyś zapomniała... W sobotę jest Dzień Ojca...

Dillon nie musiał niczego wyjaśniać. Ojciec czekał na kartkę od Rosie. Jej ojciec był farmerem, wielkim, o wielkich dłoniach i jeszcze większym sercu. Rosie zdarzyło się wielokrotnie przyłapać ojca, jak ocierał łzy wzruszenia. W kościele albo podczas szczególnie pięknego zachodu słońca.

- Przyjdzie z jutrzejszą pocztą. Przyrzekam.

- A tak poza tym? Co słyhać? Westchnęła, czując nagle ciężar minionego dnia.

- Mam masę pracy. Awansowałam. Na razie tylko w zastępstwie, ale jednak. Nareszcie mogę pisać.

- Pisać? Zostałaś pisarzem gazetowym?

W przeciwieństwie do reszty rodzeństwa Dillon nigdy nie przywiązywał wagi do dalszej edukacji. Skończył szkołę średnią i to mu wystarczało. Kochał ich rodzinną farmę i wszyscy wiedzieli, że to on kiedyś ją przejmie. Pozostali jej bracia mieli inne zawody i inne plany.

- Można to tak nazwać, że zostałam pisarzem gazetowym. Lekka przesada, ale w końcu nie musiała opowiadać Dillonowi, że to tylko zastępstwo, tylko na kilka tygodni i tylko odpowiedzi na listy, a nie prawdziwe dziennikarskie pisanie.

- Reportaże o życiu wielkiego miasta, co?

- Coś w tym rodzaju.

- A to życie dobrze cię traktuje?

- Z wyjątkiem jednego faceta, tak - odpowiedziała Rosie, myśląc o swej porannej przygodzie. Plamy błota na spódniczce przypomniały jej bez ogródek, że nie tylko musi odpowiadać na pytania człowieka, któremu jakaś kobieta chce zagarnąć jego przestrzeń życiową, ale że i jej własna przestrzeń została dziś poważnie nadszarpnięta.



W słuchawce zapadła chwila ciężkiej ciszy.

- Jakiego faceta? - zapytał wreszcie Dillon.

- Nieznośnego.

Rozmawiając z bratem, Rosie próbowała jednocześnie zeskrobać błoto ze spódnicy. Było równie nieznośne jak Ben. Pal diabli egzotyczne wizje ich ciał splecionych miłośnie pod palmami. Nie czas żałować palm, gdy płamą plamy. Spódnica nadaje się do pralni, a Rosie dopiero raz miała ją na sobie. Ten nieznośnik kradnie jej czas, miejsce i pieniądze.

- Nieznośnego? - zapytał Dillon.

- Próbuje zagarnąć moją przestrzeń.

- Nachodzi cię? - Dillon nie wiedział, co Rosie ma na myśli, zinterpretował więc jej słowa w jedyny zrozumiały dla siebie sposób. Jakiś facet nagabuje jego siostrzyczkę.

- Tak. I będzie mnie nachodził tak długo, aż uzyska to, czego chce. - Nie zastanawiając się nad tym, co jej odpowiedzi wywołują w duszy biednego Dillona, Rosie, rzuciwszy okiem na zegarek, wykrzyknęła: - Och, Dillon, już prawie siódma, a muszę jeszcze przygotować kolację dla koleżanki!

Dillon jednak nie dawał za wygraną.

- Zagarnia twoją przestrzeń? Nachodzi cię? Chce postawić na swoim?

Ale Rosie nie miała już ani chwili czasu.

- Dillon, złotko, muszę kończyć. Kartka do taty będzie jutro. Kocham cię, braciszku.

Odczekała, aż Dillon wymruczy w słuchawkę pożegnalne „pa, kochanie”, i rzuciła się do kuchni. Nigdy nie należy rozmawiać ze starszym bratem za pomocą metafor. Z całą pewnością nie z Dillonem. Rosie powinna to była wiedzieć. Ale zaraz miała przyjść Pam i Rosie musiała przygotować coś jadalnego. W lodówce była ćwiartka kurczaka, słoik pikli i

szczałki placka z wiśniami. W sam raz materiał na mamina „resztówkę”.

Ciche dźwięki skrzypiec wyrwały Bena ze snu, w którym tragarze w strojach gejsz unosili w siną dal pomarańczowe kłopy, klapy i kanapy. Ben przetarł oczy i ściszył radio. Pierwszy Koncert brandenburski. Uśmiechnął się do siebie. Czy było coś wspanialszego niż obudzić się w muzyce Bacha? Jego własna wyobraźnia podsunęła mu odpowiedź. Rosie, senna, ciepła, przytulona do niego.

Ewidentnie bywają sprawy i rzeczy lepsze od Bacha.

Uch, do roboty, chłopie, powiedział Ben do siebie. Rosie jest być może atrakcyjna, ale jest też zaborcza, uparta i opętana prawem własności. Ben wstał i poszedł do łazienki.

O Chryste, jęknął, stając w progu miejsca, które jeszcze wczoraj rano było nie tylko jego własne, ale też wygodne i użyteczne. Na śmierć zapomniałem! Ten cholerny babsztyl ukradł mi klopa!

Ben rozejrzał się po zrujnowanej łazience. I wodę! Oczywiście tak naprawdę Meredith nie ukradła mu wody. Ale brutalnie przywołany do rzeczywistości Ben nie miał ochoty zagłębiać się w niuanse.

Obiecała mu wczoraj, że zamówiony przez nią hydraulik doprowadzi nazajutrz łazienkę do cudownego stanu nadzwyczajnej piękności. Ben prychnął. Nie interesowały go nadzwyczajne piękności, ale woda i możliwość korzystania z toalety. Nie miał wyjścia, musiał pojechać do biura. Na szczęście w piwnicach budynku była siłownia, gdzie będzie się mógł umyć, ogolić i przebrać.

Rzucił okiem na zegar. Trzeba się pospieszyć. Włożył dres i tenisówki, a otwierając puszkę z psim żarciem, zabawił Maksa jednocześnie pogawędką. Była żona twojego pana, poinformował psa, jest niespożyta i nienasycona. Wyrzucisz ją drzwiami, to wróci oknem i za każdym razem coś ci gwizdnie.

Dobrze ci radzę, stary, dodał, klepiąc psa po rudym łebku i podsuwając mu miskę z żarciem, nie żeń się, a jeśli już koniecznie musisz, to pamiętaj, nigdy, pod żadnym pozorem nie żeń się z architektką wewnątrz. Zapamiętaj sobie na całe życie, twój dom jest twoim zamkiem i musisz go bronić.

Max polizał rękę Bena i potakująco machając ogonkiem, zabrał się do śniadania.

Ben spakował do torby ubranie, buty i przybory toaletowe. Siódma rano. Słońce właśnie wschodzi. Za kwadrans będzie w biurze. Zaparkuje koło biura, umyje się, ogoli i zdąży zabrać samochód, zanim przyjedzie Rosie.

Wjechał w aleję Clarcka, podskoczył na muldzie ograniczającej prędkość, skręcił w prawo i znowu w prawo, prosto w miejsce za schodami, gdzie...

Oooo!

W ostatniej chwili udało mu się nacisnąć hamulec, o mały włos unikając zderzenia czołowego z kufrem niedużego, zielonego auta.

- Co, do diabła, robi tu ten stary grat! - wrzasnął rozwścieczony Ben, zanim rozsądek podsunął mu jedyną sensowną odpowiedź.

„Ten stary grat” należy oczywiście do Rosie. Cholera jasna, może spokojnie zapomnieć o wszystkich precyzyjnych planach na dzisiejszy poranek. I o wszystkich łóżkowych fantazjach. Może Rosie ma śliczne piwne oczy i zmysłowe usta, ale liczy się rzeczywistość, która skrzeczy. Zachłanność bab rujnuje mi życie, pomyślał Ben. Wyskoczył z samochodu...

Pluum!

...wydał syk wściekłości. Bosą, odzianą tylko w pantofel tenisowy stopą wdepnął prosto w głęboką błotnistą kałużę.

A więc to tak. Przypomniał sobie ubłocone rajstopy Rosie. Wiedział, co go teraz czeka. Szukanie miejsca parkingowego,

które znajdzie o pięć albo dziesięć przecznic dalej, powrót biegiem do biura, spóźnienie. Wypisz wymaluj opowieść Rosie. Ale najpierw musi iść do ubikacji. Wszystko ma swoje granice. Zostawił samochód zaparkowany za dodge'em. Gdy po minucie wrócił, za jego bmw stała już ogromna żółta ciężarówka.

- Hej ty! - wrzasnął kierowca. - Myślisz, że jak kupiłeś sobie taką karocę, to możesz porządnym ludziom blokować drogę!

Ben wzruszył ramionami.

- Musiałem pójść do toalety.

- Co?!!

Kierowca nie dosłyszał odpowiedzi, a Ben nie chciał wydzierać się na cały głos i informować wszystkich dookoła, że pan Taylor musiał siku. Z drugiej jednak strony to ogromne bydlę za kierownicą tego przeraźliwego żółtego mamuta zabije go własną ręką, jeżeli natychmiast nie wyjaśni mu, co się stało. Ben odchrząknął i powiedział najgrzeczniejszym tonem prawnika z City.

- Przepraszam, ale musiałem się udać do toalety.

- Co ty sobie myślisz, gogusiu! - wrzasnął facet - że ja to co, nie muszę do wychodka?! Ale normalni ludzie sikają, nie tarasując głównej ulicy!

- OK, OK. Przepraszam najuprzejmiej - powiedział Ben. - Już odjeżdżam.

- Ale w try miga, sikaczu.

„Sikacz” przebrał miarę. Ben, ten dobry Ben, uspokajacz i mediator, zareagował na słowo „sikacz” rzeczywiście w try miga.

- Co się czepiasz? - warknął. - Nie musisz mnie popędzać, ty wypierdku mamuta.

Określenie wydało mu się trafne, ale niestety nie spodobało się facetowi, który wyskoczył z szoferki i ruszył jak

wszyscy supermężczyźni ze wszystkich superfilmów na świecie. Tyle że nie był supermanem, lecz potworną górą mięsa. W pierwszym odruchu Ben chciał się salwować ucieczką, ale rejterada znaczyłaby tylko jedno, że jest naprawdę „sikaczem”, zdany na łaskę zachłannej Meredith, paplającej Heather i wojowniczej panny Parking. Zresztą, na ucieczkę było już za późno. Wielka twarz potwora pochylała się nad Benem. Jechało od niego piwem i papierosami.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz, lalusi - powiedział. - Ale jak mówię, że mi się spieszy, to znaczy, że mi się spieszy, kapewu?

- Jeżeli tak się panu spieszy - Ben nadal starał się zachować uprzejmy ton - to czemu traci pan czas na dyskusje, zamiast pozwolić mi odjechać?

Facet chwycił w garść dres Bena i pociągnął go ku górze.

- Nie dyskutuję, złotko. Rzeczywiście nie dyskutowałem, lecz dusiłem.

- Przemoc fizyczna nigdy nie była dobrym sposobem rozwiązywania konfliktów.

- Co ty powiesz? Naprawdę?

- Naprawdę. Wiem, bo jestem prawnikiem.

- Tym lepiej - odparł wypierdek mamuta.

Ostatnim argumentem, jaki Ben zapamiętał, była wielka jak indyk pięść zbliżająca się nieuchronnie do jego twarzy.

Rosie przyglądała się płowowłosej sekretarce Bena, starannie malującej rzęsy.

- Jeżeli Beniuś umówił się z panią o 7.45, to znaczy, że zaraz tu będzie. Beniuś jest superpunktowy.

- Punktualny? - zawahała się Rosie. Nigdy nie była pewna, czy takie wyrażenia jak „superpunktowy” nie należą do obowiązującego żargonu wielkomiejskiego, a ich nieznamość piętnuje ją jako prowincjuszkę.

- Mhm - mruknęła kobieta, nie przerywając skomplikowanego zajęcia, jakim było staranne pokrywanie tuszem każdego włosa oddzielnie.

Makijaż był dla Rosie niezgłębioną tajemnicą kobiecości. Przestała zajmować się Heather i rozejrzała się po pokoju. Nad biurkiem wisiał nocny pejzaż, przedstawiający tropikalną plażę. Biały piasek, ciemnozielone kontury palm, blada ludzka twarz księżycy, który... Rosie nie wierzyła własnym oczom. Wpatrzyła się uważnie w malunek. Tak, nie ulegało wątpliwości, księżyc był... zegarem! Uch, pomyślała Rosie, totalne prawnicze bezguście! Zegar chodził i wskazywał siódmą pięćdziesiąt pięć. OK, Rosie też nie zawsze była punktualna, ale czy to nie pan „superpunktowy” powtarzał wczoraj z naciskiem, że siódma czterdzieści pięć to siódma czterdzieści pięć a nie siódma pięćdziesiąt pięć?

Z zamyślenia wyrwał ją brzęk spadającego na podłogę lusterka Heather.

- Jezus Maria, Beniuś! - pisnęła, zrywając się z krzesła. - Ubłociłeś się!

Rosie obejrzała się i zamarła. Zamiast eleganckiego mecenasa w drzwiach kancelarii stał potargany facet w szarym, brudnym i porozciągany przy szyi dresie i zabłoconych tenisówkach, który dziwnie przypominał Rosie świeżo wyklute pisklaki, wilgotne i pokryte sterczącymi w nieładzie piórkami. „Beniuś” przyciskał do twarzy wielką białą-czerwoną ścierkę.

- Nie ubłociłem się, tylko zostałem włożony - wybełkotał. Heather przyjrzała się napisowi na ścierce.

- To serwetka z reala - powiedziała. Supermarket reala znajdował się tuż obok ich biura. - Tam cię tak ubłocili? Zawsze twierdziłam, że w realu podają za mocną kawę. Ja zresztą uważam, że trzeba pić kawę bez kofainy, za dużo kofainy i bęc, stajesz się agresywny...

Rosie pomyślała, że Ben musi mieć niezwykłą cierpliwość, bo żaden normalny mężczyzna nie pozwoliłby swojej sekretarce tak paplać bez sensu. Zwłaszcza w takiej sytuacji. I jeszcze przekręca wyrazy. Superpunktowy. Kofaina. No i Beniuś!

- Och, Heather, kasjer z reala zrobił mi okład z lodu, zawiniętego w ściereczkę.

- Supermarkety to rzeczywiście supermiejsca - powiedziała Rosie. - Z wszechstronnie wykwalifikowanym personelem...

Ben spojrzał na nią, jakby dopiero w tym momencie zauważył jej obecność.

- Ach, to pani - powiedział - Dzień dobry.

- Byliśmy umówieni. Na siódmą czterdzieści pięć.

Ben wzdrygnął się. Cholera jasna, pomyślała Rosie, znowu przeholowałam. W końcu widać, że facetowi coś się stało i miał pełne prawo się spóźnić.

- Przepraszam - powiedział Ben, najmniej przepaszającym, tonem na świecie. - Byłbym w biurze na czas, umyty, ubrany, ogolony i na pewno nie „wbłocony”. Niestety pewna młoda dama zaparkowała samochód w naszej wspólnej niszy parkingowej o szarej godzinie przedświt. Oczywiście owa dama ma prawo i rację, bo dziś jest jej dzień, a nie mój, ale sądziłem, że uda mi się wślizgnąć na zastrzeżone dla mnie dziś terytorium na piętnaście minut i opuścić je, zanim to komukolwiek przeszkodzi. Niestety, jak już wspomniałem, o szarej godzinie przedświt... - Przerwał i popatrzył na Heather. - Ty też przyszłaś wyjątkowo wcześnie. Mamy dziś jakąś specjalną okazję, zmuszającą kobiety do rozpoczęcia pracy o szarej godzinie przedświt?

- Wczoraj się spóźniłam, więc dziś przyszłam przed czasem - odpowiedziała, nie zwracając uwagi na żarcik Bena.  
- I robię makijaż.

- Zaiste, makijaż - powiedział Ben. - A ja najchętniej napiłbym się whisky, co oczywiście w idealny sposób dopełniłoby wizerunku lumpa, jaki dziś przybrałem. Więc, jak już mówiłem, o szarej godzinie przedświtku miejsce było już zajęte, musiałem zaparkować cztery ulice dalej, a jak wracałem do biura, jakiś poczciwy człowiek dał mi drobny datek.

Ben wyjął ćwierć dolara z kieszeni spodni.

- Pójdę się ogarnąć i byłbym wdzięczny za kubek kawy. Rosie nie bardzo wiedziała, czy to ostatnie odnosiło się do niej czy do Heather, ale Ben, rozwiewając jej wątpliwości, dodał:

- Czarnej jak moje serce!

A więc do niej. W końcu sekretarka wie, jaką kawę pija szef. Choć, kto wie? W każdym razie Heather w ogóle nie zareagowała na prośbę Bena, zawołała tylko:

- Dzwonił pan Smith. Spóźni się o parę minut i będzie mniej więcej kwadrans po ósmej!

Po czym zajęła się czesaniem brwi.

- Zrobię kawę - wymamrotała Rosie, czując, że na gwałt potrzebuje wsparcia bogiń.

Jako Atena skierowała się ku szafce, na której stały utensylia do parzenia kawy, ekspres, cukierniczka, puszka mleka i kolekcja filmowych kubków. Bez Jamesa Deana, który wciąż jeszcze zdobił biurko Rosie dwa piętra niżej. Musi mu go oddać przy okazji. Dobrze, pomyślmy, powiedziała do siebie Atena, w czym podamy kawę panu Tygrysowi, który dziś wygląda jak nieopierzony kurczak. „Deszczowa piosenka”? Nie. Na dworze świeci słońce, a Ben chyba nie jest w nastroju do śpiewania. „Błękitny anioł”? Mężczyzna, który upadł przez kobietę. Nie, tak daleko nie będziemy się posuwać. „Casablanka”? Zagraj to jeszcze raz, Sammy. Och, lepiej nie. „Pół żartem, pół serio”? Marilyn Monroe i dwóch facetów przebranych za kobiety. Subtelna aluzja do jej własnej



sytuacji, nie do odczytania dla niewtajemniczonych, ale jednak. Tak, to wybór godny bogini.

Rosie nalala wrzącą kawę do kubka, na którym Marilyn przytulała do piersi maleńkie ukulele. Ciekawe, czy Benjamin Taylor lubi takie piersiaste blondynki? Może jednak trzeba się żywić czymś więcej niż zdrowe batoniki z muesli. Chociaż, co ją właściwie obchodzi, jaki typ kobiet podoba się panu Taylorowi? No, no, zauważyła surowo bogini Atena z głębin podświadomości Rosie, coś cię jednak obchodzi. Może nawet więcej niż „coś”. To prawda, przyznała skruszona Rosie. To idiotyczne, ale na myśl o tym, że Benowi mogłaby się podobać Marilyn Monroe odczuwała... zazdrość. Tak, zazdrość. O nieżyjącą gwiazdę filmową. Och, głupoto kobiet!

Benjamin Taylor, nawet gdy wygląda jak półżywy kurczak, jest szcwanym adwokatem, który próbuje ją wykołować, a ona wpędza się w kompleksy porównaniami ze zmarłą aktorką. Bo, pomyślała szczerze Rosie, Marilyn reprezentuje to wszystko, czego ona sama nie ma - jest zmysłowa, pełna seksu i ma odlotową figurę. To się nazywa obiektywna ocena sytuacji, pomyślała Rosie i bez wahania wybrała dla siebie kubek z Audrey Hepburn w roli z „My fair lady”.

Ach, moja piękna lady, pomyślała Rosie. Eliza Doolittle na obrazku miała przybrudzoną sukienkę i smugę sadzy na nosie. Oto jak widzą cię mężczyźni, oto jak zobaczył cię po raz pierwszy pan adwokat Taylor - z plamą błota na czole. Na pocieszenie obróciła więc kubek i przyjrzała się przeistoczonej kompletnie Elizie. Elegancka, śliczna kobieta. Odwieczny mit ludzkości. Z kopciuszka w księżniczkę. Tyle że ja nawet nie wiem, jak mogłabym się zmienić w księżniczkę.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Przecież nie oczekiwałem, że to pani przyniesie mi kawę  
- powiedział Ben na widok Rosie, wchodzącej do kancelarii z dwoma kubkami w ręku.

- Czyli nici z wdzięczności? - zapytała słodko.

Za słodko, najeżył się Ben. Albo przesłodziła kawę, albo czegoś chce. Na przykład miejsca parkingowego.

- To złodziejstwo, co pani dziś zrobiła.

- Przyjmijmy - powiedziała Rosie wyrozumiale - że miał pan dziś fatalny poranek. Ale nie jestem złodziejką. Dzisiaj jest moja kolej parkowania.

Ciekawe, dlaczego ta pannica jest nagle w takim pojednawczym nastroju? Chce go ugłaskać? A tymczasem to twardy babsztyl z pazurami lwa. Wczoraj, kiedy siedziała tu, taka wzruszająco bezradna, z plamą na skroni, wywarła na nim zupełnie inne wrażenie. Ale dziś odzyskała już pewność siebie i... Jakby dla potwierdzenia słuszności myśli Bena, Rosie założyła nogę na nogę, ukazując superzgrabną łydkę i szczupłe kolano. Odlotowe nogi, pomyślał wytrącony z równowagi Ben, nawet w prostych półbucikach, a może właśnie dlatego odlotowe, bo w półbucikach, a nie na szpilkach czy koturnach. W ogóle sensownie się ubiera, z niewymuszoną prostotą. Ma wdzięk. Po raz kolejny pomyślał, że Rosie przypomina mu młode kobiety z Europy, których wcale nie zachwyciłyby przesadne stylizacje Meredith.

Milczał tak długo, że Rosie w końcu poczuła się zmuszona przystąpić do rzeczy.

- Co się właściwie stało?

Ben opowiedział jej w skrócie poranne przeżycia. Gdy doszedł do pięści mamuta, Rosie zaproponowała, że zawiezie go do lekarza.

- Wie pan - dodała z uśmiechem - mój samochód jest pod ręką.

Ale Ben znowu się nastroszył.

- Jak to pani zrobiła? Spała pani w samochodzie na parkingu?

- Po prostu wcześniej wstałam.

- Wcześniej?! O trzeciej w nocy?

- Nie, przed siódmą, jeśli już koniecznie musi pan wiedzieć. Pana zastrzeżenia nieco mnie dziwią. Nie wiedziałam, iż podlegam restrykcjom czasowym w dniu, kiedy na mnie przypada kolej parkowania. O niczym takim nie było wczoraj mowy. W końcu mam prawo przyjechać wcześniej do pracy.

Podniosła do ust kubek z kawą, stawiając go jak zapórę między sobą a rozzłoszczonym Benem.

- Jutro ja parkuję - powiedział.

- Oczywiście, dzisiaj była moja kolej, jutro pańska.

Ben wiedział, że cała ta rozmowa nie ma najmniejszego sensu, a przecież upierał się jak osioł, podkreślając fakt, któremu Rosie najwyraźniej nie miała zamiaru zaprzeczać. Miał jednak wrażenie, że całe swoje życie, a już na pewno ostatnie dwadzieścia cztery lata, nie mówiąc o ostatnich dwudziestu czterech godzinach, spędził na użeraniu się z kobietami, które wykorzystywały jego dobroć, by go ze szczętem ograbić. Myśl ta powracała jak refren długiej i nudnej piosenki. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast głosu wydał z siebie przeciągły jęk. Ze złością cisnął mokrą ścierką w stronę kosza na śmieci.

- Pana szczeka! -jęknęła do wtóru Rosie na widok twarzy Bena. - Jest sina i opuchnięta! A dlaczego właściwie doszło do bójki?

- Facet nie lubi prawników.

- Nikt nie lubi - zażartowała Rosie. - To znaczy...

Ben pojednawczo uniósł rękę.

- Pani wybaczy - powiedział. - Miałem wystarczająco ciężki poranek i chyba nie mam siły na wysłuchiwanie argumentów, dlaczego ludzie nie darzą miłością mojej profesji. Przejdźmy do rzeczy. Przygotowałem umowę.

- Kontrakt? - zapytała zaskoczona Rosie.

- W celu ochrony również pani interesów, nie tylko moich. Coś w Rosie zagotowało się ze złości i kipiało, waląc pokrywką

o garnek. Nie będzie się kłócić, Atena na pewno nie poniżyłaby się do awantury z jakimś niedowarżonym prawniczyzną.

- Czy kontrakt przewiduje też taką sytuację, jaką chciał pan stworzyć dzisiaj? - zapytała chłodno. - Założmy, że przyjeżdżam do pracy wcześniej i chcę wjechać na nasze wspólne miejsce tylko na dziesięć minut. Będzie mnie pan skarżył? Albo na odwrót - pan przyjeżdża, mnie jeszcze nie ma, pan sądzi zatem, że być może miejsce jest wolne, a ja po prostu spóźniam się do pracy.

Ben wypił łyk kawy i spojrzał na Rosie. Miał niebieskie oczy, w tym odcieniu błękitu, jaki miało niebo w Kansas w pogodny, letni dzień. Speszona tym spojrzeniem, Rosie mówiła wprawdzie dalej, ale o jakiś ułamek za szybko.

- Dziś przyjechałam punktualnie, bo wczoraj się niebotycznie spóźniłam, to raz, a poza tym wiedziałam, że mamy obgadać sprawy i...

Psiakrew, znowu źle. Mężczyźni nie mówią „obgadać sprawy”, mężczyźni negocjują warunki.

- .. i wynegocjować warunki - dokończyła. Ben odstawił kubek.

- Ma pani rację - przyznał. - Być może wkrótce dostaniemy drugie miejsce i problem zniknie.

Rosie tryumfowała. Taki prosty trik. Wynegocjować warunki, zamiast pogadać. I już. Heather zajrzała do pokoju.

- Pan Smith przyszedł.

- Super - powiedział Ben. - Nowy klient, a ja wyglądam jak ostatni lump.

- Ach nie - powiedziała Rosie. - Raczej jak niebezpieczny typ.

Nie była wprawdzie pewna, czy rzeczywiście chciała mu to powiedzieć, ale była to prawda. Wczoraj rozmawiała z nieskazitelnym mecenasem, ale jego dzisiejszy wygląd bardziej jej odpowiadał. Ben był nieogolony, brudny i... dziki. Jak awanturnik z dżungli.

Ben rzucił jej mordercze spojrzenie.

- Myślałam, że prawnicy lubią image niebezpiecznych rekinów - powiedziała niewinnie, myśląc, że jeszcze kilka takich morderczych spojrzeń z jego strony i nie zdoła się oprzeć. I tak z trudem udawało się jej zachować równowagę w tej nierównej grze. A Rosie nie lubiła przegrywać! Nawet z mężczyznami. Przede wszystkim z mężczyznami. A już na pewno nie z mężczyznami, którzy jej się podobali!

- A zatem pomijamy sprawę kontraktu - powiedział Ben. - Może po prostu zaznaczymy w kalendarzu, który dzień do kogo należy. I jak powiedziałem, jutro jest mój dzień.

- Tak, proszę pana. Jutro jest pana dzień.

Facet ma poważne problemy z zaimkami osobowymi. I wynaturzone poczucie własności. Rosie wstała.

- Może dam panu mój numer telefonu - powiedziała, zegnając się. - Jakby pan potrzebował szybkich dziesięciu minut, albo nawet godziny, to możemy to bezproblemowo uzgodnić przez telefon.

Ben odstawił kubek z Marilyn Monroe na biurko, koło niebieskiej glinianej ryby. Sinej jak siniak na jego szczęce.

- Dziękuję, ale nie sędzę, żeby to było konieczne - odpowiedział uprzejmie, chociaż spojrzenie, jakim ją obrzucił,

powiedziało jej coś zupełnie innego, że tak, że chętnie i że natychmiast.

Co on właściwie zrozumiał, zdziwiła się w duchu Rosie.

- Mam na myśli miejsce parkingowe w dniu, który należy do mnie - powiedziała, oblewając się rumieńcem. Cholera jasna, w rozmowie z tym facetem trzeba pilnować każdego słowa. Ale może jest przewrażliwiona. I te idiotyczne panieńskie rumieńce. Swojskie dziewczę z prowincji! Speszona, opuściła biuro Bena i dopiero na korytarzu stwierdziła, że ukradła mu następny filmowy kubek do kawy.

- Wyglądasz o niebo lepiej, Beniusiu - powiedziała Heather. Jak zwykle trzymała słuchawkę na ramieniu, nie używając rąk, zajęta malowaniem paznokci.

Ben, wykąpany, ogolony i w czystym ubraniu stał oparty o drzwi recepcji.

- Gdyby nie siniec, nikt by nie przypuścił, że oberwałeś.

- Nie przez telefon, Heather - powiedział Ben. - Tyle razy cię prosiłem...

- Przecież to tylko Karla.

Ile razy toczył z Heather tę rozmowę. Sto? Tysiąc? Może powinien wreszcie machnąć ręką, przyjąć do wiadomości, że przecież to tylko Karla, oszczędzając siły na sprawy naprawdę poważne. Czyli wychodek i parking. Tak na dzień dzisiejszy wyglądają poważne sprawy poważnego prawnika.

- Pozdrów Karłę ode mnie - powiedział i przeszedł do kancelarii. Na biurku w stercie codziennej korespondencji leżała koperta bez nadawcy. Ben otworzył ją jako pierwszą. „Szanowny Panie Mars”. Odpowiedź od Prawdziwego Mężczyzny! „Zadał Pan pytanie, dlaczego kobiety są takie zachłanne. Myślę, że styka się Pan wciąż z jednym i tym samym typem kobiety, co rzecz jasna implikuje ten sam, powtarzający się typ stosunków między Panem a płcią przeciwną”.

Dobrze trafione, pomyślał Ben, odpowiedź jak od psychoanalityka. „Pragnę Pana zapewnić, że istnieją i inne kobiety: niezależne, żadne przygód, będące równorzędnym partnerem mężczyzny i równe mu. Problemem mężczyzn jest to, że wybierając kobiety, kierują się ich wyglądem, a nie prawdziwymi wartościami. To brzmi jak banał, ale jest niestety jedną z podstawowych prawd”.

Ben zastanowił się nad przeczytanymi zdaniem. „Kobieta równa mężczyźnie”. Ben nie był totalnym ignorantem. Feminizm, emancypacja, ruch wyzwolenia kobiet. Wiedział, że takie pojęcia istnieją, ba, wiedział nawet, czego chcą te kobiety. Pech jego życia polegał na tym, że osobiście nigdy nie spotkał kobiety, która byłaby „równorzędnym partnerem mężczyzny i mu równa”, ba, która chciałaby być mu równa. Zawsze trafiał na kobiety potrzebujące opiekuna. I tak to zostałem prawnikiem, pomyślał Ben, żeby przynajmniej część tych oczekiwań zamienić na pieniądze.

„Niezależnie od tego, jakie są przyczyny tego wewnętrznego konfliktu Pana osobowości, jest ewidentne, że aktualnie czuje się Pan złapany w potrzask. Proszę się nad tym zastanowić. Sam Pan napisał o sobie, że jest Pan miłym mężczyzną, osaczonym przez kobiety, które chcą zagarnąć Pana przestrzeń. To oczywiście metafora, za którą skrywa się istotny sens. Moje pytanie brzmi: Co jest dla Pana jego przestrzenią? Pana świat, dom, biuro?”

Ben rozejrzał się po chaotycznym panoptikum stylów, w jakie Meredith zamieniła jego biuro. To miejsce nie było „jego przestrzenią”, co najwyżej ekskluzywnym pchlim targiem.

„Aktualnie chciałby się Pan przenieść z planety na planetę. Jestem pod wrażeniem, bo zmiana własnego świata to wielkie zadanie. Sugerowałbym podjęcie drobnej próby. Niech Pan najpierw znajdzie przestrzeń, małą, ale ważną dla Pana, powiedziałbym nawet, witalną. Jeśli nie może jej Pan dzielić z

innymi, to niech ją Pan ogrodi. Dobrze jest pamiętać, że rzeczy wielkie zaczynają się od małych kroków. Bo każdą podróż, choćby nie wiadomo jak daleką, rozpoczyna przejście przez próg. Pozostaję z poważaniem, Prawdziwy Mężczyzna".

Ben zamyślił się. Porada Prawdziwego Mężczyzny była może dobra, ale jak miał ją zrealizować... W domu panoszyła się Meredith, a w biurze obie jego były. Jedyłą przestrzenią, którą jeszcze próbował ogrodić dla siebie, było nieszczęsne miejsce parkingowe, które musi dzielić z Rosie. Rzeczywiście mała przestrzeń. Ciekawe, czy Prawdziwy Mężczyzna miał na myśli coś aż tak małego. Ale co tam. Jeżeli zdoła wywalczyć ją dla siebie, to podejmie dalsze kroki, aby odzyskać najpierw biuro, potem łazienkę. Potem zdejmie i odkurzy kajak, a potem ruszy w świat...

Poczuł, jak jego ciało ogarnia nieznany rodzaj przyjemnego podniecenia, a nawet satysfakcji i zarazem oczekiwania. To nieznane uczucie przypominało trochę stan zakochania, też od lat zapomniany. Oczywiście nie zakochał się. Ale euforia była podobna.

Buduję nowe życie, pomyślał. Na Marsie!

Musiał to powiedzieć na głos, bo Heather przyszła, poprzedzana stukotaniem korków.

- Będiesz coś budował? - zapytała, potrząsając grzywą jasnych włosów jak modelka z reklamy szamponu.

- Nie. Przeżywam moment ekstazy... Heather popatrzyła pytająco.

- Sam? - zawahała się na moment, po czym dodała: - Martwiłam się ostatnio o ciebie.

- Martwiłaś się o mnie? - zapytał zaskoczony.

- Ostatnimi czasy jesteś taki rozdrażniony.

- Rozdrażniony?



- Mhm. Rozdrażniony i przejęty. Jak Meredith, gdy się uprze, żeby odnowić kanapę. Tyle że teraz to ty się wszystkim przejmujesz ponad normę.

Przejmujesz ponad normę, dobre sobie. Po prostu próbuje jak prawdziwy mężczyzna wyraźnie określić nieprzekraczalne granice. I to ją zastanowiło, bo była to nowa cecha. I zaniepokoiło.

- To, czego zdaje się obie nie jesteście w stanie pojąć, to prosty i nieskomplikowany fakt, że to moja kanapa i że jestem do niej przywiązany. A ponadto uważam, że nadeszła pora, by Meredith zaczęła sobie radzić ze swoim życiem. Nie może tak być, żeby moja była żona wracała do mnie jak bumerang, ile razy dozna niepowodzeń. Meredith ma serce jak dzwon i powinna to wreszcie przyjąć do wiadomości, zamiast rzucać się jak głodna lwica na moje kanapy i ubikacje.

Mówiąc to Ben, chcąc wywołać efekt, celowo użył przesadnych określeń, a tymczasem podświadomie dokładnie utrafił w sedno. Meredith ma serce jak dzwon i żyje w zgodzie z potrzebami własnego serca. Do diabła, Meredith żyje, żyje naprawdę, nie bacząc na to, że może cierpieć czy ponieść porażkę. Cierpi, ale potrafi się dźwignąć i zacząć od nowa. Jego była żona, ta nieco śmieszna i afektowana Meredith, ma znacznie więcej odwagi niż on!

- Nie mówiłam! - powiedziała Heather. - O to właśnie chodzi. Ekscytujesz się ponad normę.

- Widocznie przechodzę fazę ekscytowania się ponad normę - odpowiedział Ben w zamyśleniu. - Po to, żeby wreszcie ustalić, kim naprawdę jestem i czego chcę.

- Chcesz obejrzeć katalog ubikacji, kochanie? - powiedziała Meredith, wchodząc do kancelarii.

Ben zaniemówił. Już wczorajsza fryzura Meredith była godna uwagi, ale jej dzisiejsza wersja była jeszcze

straszniejsza. Ze skłębionych włosów sterczały bowiem srebrzyste przedmioty nadnaturalnych rozmiarów.

- Meredith - powiedział Ben, łapiąc oddech - wpadłaś w toaletę i przyniosłaś ją na głowie?

- Aż taka silna to nie jestem - powiedziała godnie Meredith. Ben przyjrzał się jej z mieszaniną lęku i podziwu. O tak, moja droga, pomyślał, jesteś silna! Jeśli zechcesz, zapędzisz w kozi róg stado bawołów afrykańskich.

- No w każdym razie, wygląda, że dźwigałaś ciężary - zażartował, bo strój Meredith wyraźnie przeczył podobnym przypuszczeniom.

Miała na sobie wąską czerwoną suknię z jedwabiu i bołerko haftowane w ptaki i drzewa. Meredith znakomicie zarabiała i mogła sobie pozwolić na wszelkie ekstrawagancje.

- Cieszę się, że to widać - powiedziała i napięła mięśnie prawej ręki. - Chodzę regularnie na treningi.

Pokój wypełnił odurzający zapach kadzidła. Nowy strój, nowe perfumy, brzmiała niezmienna reguła jego zmiennej byłej żony.

- Będziesz zachwycony - powiedziała Meredith, pochylając się nad biurkiem Bena. Położyła przed nim pękata teczkę. - To Renaldo. Płynne Unie w stylu neowłoskim.

Ben poczuł, że ma dość. Kierowca ciężarówki. Kadzidło. Neowłoski wychodek Renaldo.

- Meredith, ostrzegam cię, jeżeli odważysz się zainstalować w mojej łazience jakiegokolwiek neo-coś-tam, uduszę cię własnymi rękami - warknął, zaciskając dłonie na poręczach fotela i z trudem powstrzymując przeraźliwą chęć wytargania Meredith za włosy. - Każ zainstalować cokolwiek, żebym mógł się umyć i wysikać. Koniec dyskusji! - A potem, ku własnemu zdumieniu, dodał jeszcze: - I proszę, zamknij drzwi, jak wyjdiesz, bo muszę zatelefonować.

- Całkiem ładne te twoje kubki.

Rosie podniosła głowę znad klawiatury. Jerome opierał się niedbale o jej biurko. Miał na sobie obcisłe dzinsy, białą podkoszulkę i skórzaną kurtkę w kolorze koniaku. Paige nie ma w biurze, zawyrokowała Rosie, więc Jerome jest słodki jak Jasio Fasolka.

- Bardzo ładne... - Jerome omiół ją spojrzeniem, jakiego nie powstydziliby się żaden robotnik budowlany - .. kubki.

Och, jaki skunks, pomyślała Rosie. Wiedziała, że Jerome potrafi być obrzydliwy w stosunku do kobiet, ją jednak dotychczas zostawiał w spokoju. Nie była w jego typie. Rosie mówiła, co myśli, i chodziła jak dragon w prostych brązowych półbucikach, a Jerome lubił te młode rozchichotane dziewczęta w butach na wysokim obcasie i obcisłych spodniach, zalotnie kołyszące pupą. Nagabywania Jerome'a miały jednak jakiś cel, choć Rosie na razie nie wiedziała jaki. Bezwiednie przesunęła kubki, ustawiając małego śmiesznego dinozaura między buntownikiem a damą. I tak nie ma wyjścia. Musi znosić tego typu i musi się dowiedzieć, o co mu chodzi. Co gorsza, musi mu być wdzięczna.

- Dziękuję za załatwienie mi spotkania z Paige - powiedziała nonszalancko.

- Jesteś mi dłużna lunch.

- Owszem, jestem ci dłużna lunch. I nic więcej, dodała w myślach.

- Focaccio - powiedział Jerome z naciskiem na pierwszą sylabę.

Rosie gotowa była przysiąc, że Jerome uśmiecha się obleśnie, choć zaledwie wygiął kącik ust.

- Chodzi o lunch, prawda? - powiedziała Rosie, zaciskając dinozaura w garści.

- Focaccio - Jerome nachylił się ku niej zmysłowo - jest restauracją!

Och, co za gnojek! I to Focaccio, za każdym razem inaczej akcentowane i za każdym razem brzmiące jak obleśne wyzwisko.

- Wiem.

- Kiedy?

- Jak dostanę wypłatę.

Nie powiedziała, którą wypłatę ma na myśli. Może za rok. Albo za dwa.

- Zapomniałem - powiedział Jerome tonem wyniosłej pogardy - że „kanalarze” żyją od wypłaty do wypłaty.

Drgnęła jak zwierzę, które zwietryło niebezpieczeństwo, przerażone nadchodzącą dopiero burzą.

- Nie jestem już „kanalarzem” - powiedziała - jestem Prawdziwym Mężczyzną.

Jerome roześmiał się ohydnie.

- To paradne!

A to łajdak! W końcu Paige na pewno mu powiedziała. Jerome wyciągnął dłoń i musnął jej palce, wciąż kurczowo zaciśnięte na figurce dinozaura.

- Sama przyznasz, że to ja ci załatwiłem tę posadę, dziecińo.

- Załatwiłeś mi możliwość rozmowy z Paige, resztę załatwiłam sobie sama.

- Nigdy w życiu nie przeszłabyś przez te drzwi, gdybym ci ich nie otworzył.

Ręce jej drżały, zębaty pysk dinozaura boleśnie wpijał się w prawą dłoń.

- Więc dobrze, przypuśćmy, że to ty otworzyłeś mi drzwi... - Rosie z wysiłkiem powstrzymywała się od płaczu.

Jerome pochylił się ku niej, zaglądając jej obleśnie w oczy.

- Mogę je otworzyć raz jeszcze. Dać ci nową szansę...

- Czy ma to być propozycja? - zapytała przez zaciśnięte zęby. Lata wychowania w prowincjonalnym miasteczku nie zdołały wpoić Rosie sztuki panowania nad tym, co mówi. Ten obrzydliwy macho przebrał miarękę. Wyłudził od niej lunch w bardzo drogiej restauracji, a teraz obiecuje więcej i za wyższą cenę.

Jerome cofnął się gwałtownie, wyprostował i postawił kołnierz kurtki.

- Nigdy niczego takiego nie powiedziałem - wycedził przez zęby.

- Nie, ale niedwuznacznie zasugerowałeś. Uniósł brwi dokładnie tak samo jak Paige.

- Mam ci przekazać polecenie od Paige - powiedział obojętnym, zawodowym tonem. - Masz zrobić statystykę twojej pracy jako Prawdziwy Mężczyzna. Liczba otrzymanych pytań, udzielonych odpowiedzi, ich jakość, liczba i rodzaj reakcji zwrotnych.

Ten gnojek Jerome jest albo obleśny, albo zimny i wyrachowany. Teraz miała do czynienia z jego cynicznym wcieleniem. Nie powinna mu była zarzucać, że robi jej propozycje. Cholera, gotów jeszcze naopowiadać Paige nie wiadomo co. I tak skończy się ostatnia próba ucieczki z „kanału”.

- Mam pracować jako Prawdziwy Mężczyzna bardzo krótko - powiedziała, starając się nadać swojemu głosowi obojętny, profesjonalny ton. - Kiedy Paige chce mieć to sprawozdanie?

- Jutro z samego rana.

- Jak bardzo z samego rana?

- Mam dwie możliwości. O dziesiątej albo o siódmej trzydzieści.

- Dziesiąta? - zapytała Rosie. Na pewno lepiej się przygotowuje, jeżeli będzie miała rano czas.

- Och, pomyliłem się - powiedział Jerome. - Dziesiąta jest jednak zajęta. Pozostaje tylko siódma trzydzieści. I nie spóźnij się, bo Paige tego nie znosi. Nazywa spóźnienia niesubordynacją pasywno-agresywną.

- W porządku. Siódma trzydzieści - powiedziała Rosie, decydując, że musi być co najmniej o siódmej, w razie gdyby Jerome zastawił na nią pułapkę i podał jej błędny termin.

Jerome szedł już w kierunku drzwi, lecz nagle obrócił się, spojrzał zimno na Rosie i powiedział:

- Nie wiedziałem, że Prawdziwy Mężczyzna ma... kubki. Rosie już miała na czubku języka jakąś ciętą odpowiedź, powstrzymała się jednak, dając temu gnojkwowi szansę wyjścia z pokoju w poczuciu odniesionego zwycięstwa. Miała okropną ochotę chlusnąć kawą z kubka na dandysowatą kurtkę Jerome'a.

Zapach Chanel Girl wskazywał, że oto przychodzi ratunek i pociecha w postaci Pam.

- Wygląda na to, że cię polubił - powiedziała, przysiadając jak zwykle na biurku Rosie i patrząc przez szybę na oddalającą się sylwetkę Jerome'a.

- Oszczędź! - jęknęła Rosie.

- Mówię serio.

- Ja też.

- Dziewczyno, nie umówiłaś się z nikim od czasu, gdy wylądowałaś w Chicago siedem miesięcy temu. Siedem długich miesięcy. Jerome jest gorącym kąskiem. Aktualnie umawia się z Tiną, wiesz, tą z księgowości.

- Też ją próbował zaszantażować?

Pam popatrzyła uważnie na przyjaciółkę.

- Chodzi ci o lunch? To niezbyt wysoka cena, jak na to, co zdołałaś osiągnąć.

Rosie westchnęła.

- Jemu chodzi o więcej niż tylko lunch.

- Kup mu loda na deser.
- Chodzi też o więcej niż o loda.
- Pół żartem, pół serio - powiedziała Pam.
- Niestety nie. Niestety tylko serio. Bo do tego zachowałam się jak idiotka. Powinnam była wysłuchać tego, co miał mi do powiedzenia, i chłodno go zignorować. Ale zeżliłam się i powiedziałam mu, że robi mi propozycje. Tego, jak wiesz, w dzisiejszych czasach nie rzuca się na wiatr, bo to sąd i więzienie.
- Jeżeli naprawdę tak było, to musisz iść do kadr i powiedzieć o tym.
- Nie wchodzi w rachubę. Nie mam świadków. I, prawdę mówiąc, nawet nie mam co opowiedzieć. Wszystko, co Jerome zrobił, rozegrało się poza słowami, w spojrzeniach, grymasach...
- Ale jemu powiedziałas naturalnie prosto w gębę...
- Prosto w gębę - przytaknęła Rosie.
- Jesteś prowincjonalną gęsią - powiedziała z namysłem Pam.
- Jestem - potwierdziła Rosie. - I co teraz?
- Przeprós go. Powiedz, że źle zrozumiałaś...
- Wcale nie zrozumiałam źle.
- To musisz udawać, że jest ci przykro. - Pam popatrzyła oskarżycielsko na Rosie. - Jeżeli możesz udawać, że jesteś jedną z tych twoich bogiń, to możesz powiedzieć temu gnojkwowi, że ci przykro. - Rosie zacisnęła zęby.
- Dobrze. Nawet jeśli się zdobędę na to i go przeproszę, to co?
- To musisz z nim iść na lunch, tak jak obiecałaś.
- I wtedy on zażąda deseru!
- Och Rosie, przecież chyba potrafisz sobie poradzić z jednym niewydarzonym amantem filmowym. - Pam przyjrzała się Rosie jeszcze uważniej niż przed chwilą. - Czy jest... -

zawahała się - czy jest możliwe, że... nie umiesz sobie radzić z facetami?

Rosie zarumieniła się aż po nasadę włosów. Była z Pam w bardzo zażyłych stosunkach, nigdy jednak nie rozmawiały o tak intymnych szczegółach.

- Mam pewne doświadczenia z mężczyznami, jeżeli o to ci chodzi - powiedziała z zażenowaniem.

Nie, Rosie nie była już dziewicą, jeżeli to właśnie chciała wiedzieć Pam. Ale prawie. Gdyby nie ta jedna noc z Orvillem, byłaby dziewicą również w sensie... technicznym.

- No to wszystko w porządku. To wiesz, jak sobie poradzić. Masz iść z nim na lunch i nie dać się zjeść. Chyba że masz ochotę...

- Pam, jak możesz?

- Co „jak mogę”? W końcu taka mała gaska potrzebuje kogoś, kto jej powie, że nie ma nic straszego w... zjedzeniu lunchu i deseru. Od czego jest przyjaciółka, jeśli nie od tego. To życie.

Trrr. Trrr.

- A jeżeli to Jerome? - w popłochu zapytała Rosie. - Ja przecież nawet nie wiem, czy zdołam wykrztusić z siebie przeprosiny, a co dopiero powiedzieć, czy jestem w stanie iść z nim do tego piekielnego Focaccio.

- Odbierz i zachowuj się jak bogini. Tylko wybierz sobie taką, która da radę każdemu mężczyźnie.

Artemida. Groźna bogini. Przywdziewając niewidzialną zbroję Łowczyni, Rosie sięgnęła po słuchawkę.

- Myers - powiedziała krótko. - Nie.. .stety, pan... Praw... wyszedł na obiad.

Głos w słuchawce najwyraźniej znowu coś powiedział, bo Rosie rzuciła okiem na zegarek i dodała pospiesznie:

- To znaczy... oczywiście... śniadanie... kolegium redakcyjne ... - Przerwa. - Nie. Jestem... sekretarką... - Znowu



przerwa. - Chciał pan... - Przerwa. - Rozumiem, musi pan się spotkać - Przerwa. - Prawdziwy Mężczyzna jest obecnie bardzo zajęty. Może moglibyśmy przesunąć... na... - Przerwa. - ...za dwa tygodnie? - Przerwa. - Nie? - Przerwa. - Imperatywne? Uważa pan, że to jest... imperatywne? - Przerwa. - Oczywiście przekażę. Kawiarnia Starbucks. Tak, wiem... - Rosie rzuciła Pam rozpaczliwe spojrzenie. - Jutro o jedenastej. Ale oczywiście nie wiem, czy pan... Bang!

Rosie wpatrzyła się tępo w słuchawkę.

- I co? - zapytała Pam.

- Przerwał rozmowę.

Przez chwilę obie siedziały w milczeniu.

- I co teraz, moja mądralińska? Czy masz na podorędziu jakąś poradę osoby światowej dla gąski z prowincji? No i jak ja się wyplączę z tego bagna? Nie ma prawdziwego pana Prawdziwego Mężczyzny, jest tylko nieprawdziwy pan Prawdziwy Mężczyzna, czyli ja, a ja nie mogę przecież pojawić się jutro o jedenastej u Starbucksa!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Powietrze wypełniało brzęczenie owadów. Rosie zawsze lubiła ten dźwięk. Był jak długie letnie dni w Kansas. Dalekie błękitne niebo. Niekończące się brzęczenie. Niekończące się uparte brzęczenie...

Rosie otworzyła oczy i spojrzała na budzik koło łóżka, który uparcie wydawał z siebie wstrętne dźwięki. Sięgnęła do niego, wyłączyła uparciucha i z lubością pograżyła się z powrotem we śnie.

Uśmiechnęła się do siebie. Nie znosiła zrywać się z łóżka jak oparzona i zawsze pozwalała sobie na cztery, czasem nawet pięć nawrotów dzwonienia. W ten sposób zyskiwała co najmniej pół godziny, bo zegarek był nastawiony co siedem mi...

Siedem! Złapała budzik i przysunęła do oczu. Szósta dwadzieścia! O siódmej Rosie miała się stawić w biurze Paige. Wprawdzie Jerome twierdził, że Paige oczekuje jej o siódmej trzydzieści, ale Rosie czuła, że nie można mu ufać nawet przez minutę. A co dopiero przez trzydzieści minut.

Wyskoczyła z łóżka i w wielkiej męskiej podkoszulce, odgrywającej rolę piżamy, pognęła do łazienki. Dwadzieścia minut na dojazd, nawet licząc jakiś korek po drodze. Zaparkuje i może popędzić do biura Paige, bo wszystkie niezbędne papiery ma przy sobie. Szósta dwadzieścia dwie. Nie ma czasu na mycie. A na ubranie się starczą dwie minuty. Zdąży! Niedoczekanie, żeby Paige miała okazać niezadowolony z powodu... Jak to określił wczoraj Jerome? Aha, pasywno-agresywnej niesubordynacji... Wpadła do łazienki, obmyła twarz i rzuciła okiem w lustro. Brązowe loki przypominały hippisowskie afro. Ale hippisi wyszli z mody, afro też. Poranne czesanie zajmowało Rosie co najmniej dziesięć minut, na których stratę nie mogła sobie pozwolić.

Ale nie mogła też pójść do Paige z taką szopą. Związała włosy gumką.

Biegiem wróciła do pokoju. Spódnica, rajstopy, pantofle. Zamek spódniczki zaciągała już na schodach. W dwadzieścia minut później dojeżdżała do biura. Szósta czterdzieści pięć! Zdażyła!

Psiakrew, syknęła przez zęby. Dzisiaj był dzień Bena! Nie miała wyjścia, musiała pożyczyć sobie miejsce na pół godziny. W końcu wczoraj Ben chciał zrobić dokładnie to samo. Spotkanie z Paige skończy się najpóźniej o ósmej, a wtedy Rosie zabierze samochód i robi miejsce Benowi. Zanim jednak zdażyła skrócić, wyprzedziło ją czarne auto.

ILLITYG8! Cholerny tygrys z Illinois! - Ty oślizgły złodzieju! - wrzasnęła Rosie w kierunku zderzaków bmw. Oba samochody miały przed sobą jeszcze jedno światła i skręt w aleję Clarcka. I oba stały na czerwonym. Rosie rzuciła okiem na sąsiednie pasy. Jeżeli zdoła się wepchnąć między zielonego garbusa i białe audi, będzie miała na zakręcie bliżej niż Ben i... Zanim jeszcze żółte przestało migać, Rosie z promiennym uśmiechem wjechała przed białe audi, pokiwała ręką kierowcy i... Tak, o tak! w taki dzień boginie opiekują się zagubionymi gąskami z prowincji! Rosie wjechała pierwsza w aleję Clarcka! Ale nowe bmw jest szybsze niż stary dodge. Przy wjeździe na podwórko Ben prawie ją dogonił. Nacisnęła na gaz. Musi wygrać!

Wyskakując z samochodu, usłyszała pisk hamulców na ulicy. Zanim, z teczką papierów dla Paige pod pachą, zdażyła wpaść do budynku, Ben był już przy niej. Miał na sobie sportowy dres, tak jak wczoraj, tym razem biały i obcisły. Ale figura, pomyślała Rosie, jak z żurnala, klasyczne V.

- Ty złodziejko! - wrzasnął Ben.

Rosie nie miała czasu na kłótnie. Nie zatrzymując się, odkrzyknęła:

- Pożyczam na pół godziny! Mam ważne spotkanie!

- Ja też.

- Ale jeśli się spóźnię, wylecę z pracy. - Jednak musiała stanąć.

- Chyba żartujesz - powiedział, obrzucając wymownym spojrzeniem jej biust.

Gorszy obleśnik niż Jerome, pomyślała Rosie.

- Nie! To superważne! - odkrzyknęła, pędząc ku schodom.

- Stój! - krzyknął Ben.

- Oddam to miejsce za pół godziny! - zawołała błagalnie.

- Nie o to chodzi - powiedział Ben. - Ale tak nie możesz przecież iść na żadne spotkanie.

Rosie stanęła jak wryta. Miał rację. Zapomniała włożyć bluzkę i przyjechała do biura w ogromnym męskim podkoszulku. Dekolt, jeżeli wycięcie starej koszulki Dillona zasługiwało na to miano, odsłaniał niemal całe piersi, a spod cienkiej tkaniny sterczały sutki jak dwie rezolutne gumki myszki. Nic dziwnego, że białe audi ją wpuściło...

- Co teraz? - jęknęła Rosie. - Spotykam się z szefową szefów moich szefów, a wyglądam jak... dziwka. No powiedz, co mam zrobić? - Podobnie jak Ben, Rosie automatycznie przeszła na „ty”. - Już i tak mam na karku Herę, heterę, Persefonę, jak jeszcze wyjdę na impulsywną-progresywną, to mogę zapomnieć, że kiedyś chciałam wyrwać się z „kanału”.

Ben nie zrozumiał ani słowa, ale widział, że Rosie jest zdesperowana i z trudem powstrzymuje łzy. Przyciągnął ją do siebie, mimo wyraźnego oporu z jej strony, i pocieszająco pogłaskał po plecach.

- Nie musisz zawsze być taka silna, Rosie - powiedział, a jego słowa widać dopełniły miary, bo Rosie, szlochając rozpaczliwie, pozwoliła się objąć.

Ben miał rację. Silna i przebojowa Rosie nie musiała być zawsze silna i przebojowa, a co gorsza, teraz po prostu nie

była ani silna ani przebojowa Była przerażoną i roztrzęsioną istotą instynktownie szukającą pomocy. A choć zdołała jeszcze wykrztusić z siebie, że musi być silna, nadal pozwalała mu się obejmować. Mało tego, też go obejmowała i przytulała się do niego. Ben był mocny, silny i męski. Rosie czuła się jak mała, szukająca pomocy dziewczynka, ale też jak kobieta, która znalazła swojego mężczyznę. Z trudem zmusiła się do przerwania tej sytuacji.

- Muszę iść - powiedziała. - Szeftowa moich sze...

- Szeftów szefów - powiedział Ben, ściągając bluzę od dresu. - Wiem. A skoro musisz iść, to musisz się też ubrać. Włóż to, podwiń rękawy i udawaj, że tak właśnie ma być.

Rzucił okiem znawcy na beżowo-błękitną pasiastą spódniczkę Rosie.

- Biały pasuje do wszystkiego.

- A ty? - zapytała, wkładając bluzę przez głowę. - Nie możesz przecież pójść goły do pracy.

- Półgoły - odparł. - Mam ciuchy do przebrania w samochodzie i nie będę straszył klientów torsem osiłka.

Podwinął jej rękawy i poprawił zmierzwione włosy.

- Nie jest to może szczyt elegancji w City - orzekł - ale wyglądasz skromnie i świeżo. I powiedz sama sobie, że dokładnie tak chciałaś dziś wyglądać. Moja była żona twierdzi, że jest teraz nowa moda. Na niechlujkę. Poza tym wyglądasz ładnie.

- Ładnie? - zapytała. - Podoba ci się?

- Jeszcze jak - odparł Ben takim głosem, że Rosie poczuła się jak księżniczka z bajki. Ale księżniczki z bajki nie mają zebrania o siódmej trzydzieści. Ben najwyraźniej też to pomyślał, bo rzucił okiem na zegarek. - No dobrze, jest pięć po siódmej. Do boju. A jeżeli szefowa twoich szefowych robi ci wymówki z powodu pięciu minut, to znaczy, że jest obsesyjnoagresywną idiotką. W najgorszym wypadku skłam,

że drukarka się zacięła. Lepiej to, niż przyznać się, że musiałaś się ubrać w ciemnym kącie na parkingu... Ach, a propos, mam ważne spotkanie z klientem o ósmej trzydzieści. Powiedziałem mu, że będzie mógł zaparkować...

- Nie ma problemu - odparła rozpogodzona - o ósmej trzydzieści mój samochód będzie stał o mile stąd. I... dziękuję. Za wszystko.

Rosie wciąż jeszcze stała koło niego i myślała, że tak mogłoby trwać wiecznie. Bojowa Artemida i poważna Atena zmieniały się pod wpływem bogini Bum Bum w kawałek masła na ciepłej bułce.

- Rosie - Ben wyrwał ją z zamyślenia. - Jeżeli się wreszcie nie ruszysz, to cały nasz wysiłek pójdzie na marne. Szefowa czeka.

- Szefowa - powtórzyła Rosie ciepło i łagodnie. - Dziękuję. W drzwiach obróciła się jeszcze i spojrzała na tego pięknego

półnagiego mężczyznę, którego przysłała jej Bum Bum z odległych błękitnych mórz.

Ben przyglądał się Rosie. Widział, że zatrzymała się, by jeszcze raz spojrzeć na niego. Jej piwne oczy wyrażały całą gamę emocji. Odczytywał w nich wdzięczność, popłoch i, co chyba najdziwniejsze, nieśmiałość. Być może Rosie jest zdolna do walki na śmierć i życie o prawo do miejsca parkingowego, na pewno jeździ po mieście jak pirat w sportowym gruchocie, ale pod zbroją wojowniczką kryje się prawdziwa delikatność. Ben wiedział, że dotknął czułego miejsca.

Stał dłuższy czas, przepelnięty bolesną tęsknotą, odczuciem, które go zdumiało. Odżegnał się już przecież od związków z kobietami, a teraz jeszcze postanowił na dobre opuścić Wenus i przenieść się na Marsa. Tymczasem najchętniej cofnąłby czas o pięć minut, by znowu trzymać

Rosie w objęciach, z twarzą wtuloną w jej puszyste, kasztanowe włosy, albo patrzeć w jej przepełnione uczuciem oczy. A do tego z reakcji Rosie wnioskował, że i dla niej te kilka chwil nie było bez znaczenia. Zamknął oczy, przywołując obraz Rosie w cienkiej, rozchełstanej koszulce, raczej podkreślającej niż zasłaniającej nagie piersi. Widywał kobiety w jedwabiach, atłasach i koronkach, ale żadna z nich nie wyglądała tak seksownie jak Rosie w męskim podkoszulku.

Pokręcił głową. Jego stosunek do tej młodej kobiety zmienił się radykalnie. Już nie była zawziętą i niebezpieczną mieszkanką planety Wenus, teraz... teraz było inaczej.

Chłodniejszy powiew wiatru wyrwał go z marzeń. Rany boskie, jest wprawdzie wcześniej, ale zawsze się może zdarzyć, że ktoś jednak pojawi się na parkingu i padnie trupem ze zdumienia na widok mecenasa Taylora w roli półnagiego barbarzyńcy.

Ruszył w stronę samochodu. To był dobry pomysł, by napisać list do tego Prawdziwego Mężczyzny. Wprawdzie nie udało mu się, tak jak radził, „ogrodzić” i przejąć na wyłączną własność żadnej przestrzeni, ale zaczynał przejmować na wyłączną własność nowego Benjamina Taylora. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Nowy Benjamin, nowy mężczyzna. Półnagi i Dziki.

- Hej, koleś, znowu masz kłopoty na tej samej ulicy! - ochryply głos brutalnie wyrwał Bena z rozmyślań zdobywcy.

Wypierdek mamuta w wielkiej żółtej ciężarówce! No, poczekaj, gnojku, mruknął Ben.

- Wczoraj mnie załatwiłeś, ale dziś już ci tak łatwo nie pójdzie - powiedział, podchodząc bliżej.

Facetowi szczeka opadła ze zdumienia.

- Prawnicy - powiedział. - Banda kretynów.

Rosie stanęła przy biurku Jerome'a.

- Jest już?

Jerome obrzucił Rosie zdumionym spojrzeniem. Miał dziś na sobie białą koszulę, krawat w różowe paski i jasne spodnie. Wyglądał jak wymuskany manekin sklepowy.

- Co zrobiłaś z włosami? - zapytał.

- Nowa moda - odparła swobodnie. - Prosto z Europy. Styl na niechlujkę.

- Dres też?

- Też.

- Zwróć uwagę, że jesteś w biurze, a nie w piaskownicy. Ja może jestem w biurze, pomyślała Rosie, natomiast

Paige na pewno jeszcze nie ma, bo ten skunks zachowuje się zbyt nonszalancko. Nie myliła się, bo w tym samym momencie Jerome wyprostował się i przybrał pokornie-poważną minę.

- Dzień dobry, Paige - powiedział superuprzejmie.

- Dzień dobry - odpowiedziała Paige i dodała: - Myślałam, że byliśmy umówione na siódmą trzydzieści.

- Owszem - odparła Rosie, ale... - zawahała się na moment. Małe grzeczne dziewczynki nie powinny kłamać, ale... - .. lubię być na czas.

Paige skinęła głową.

- To mi się podoba. Punktualna i przygotowana - powiedziała, wskazując na papiery, które Rosie obronnym ruchem przytuliła do piersi. - Dobrze, możemy zacząć od razu.

Spotkanie nie trwało długo. Paige zadała kilka pytań, przejrzała materiały przygotowane przez Rosie, wysłuchała jej krótkiego raportu.

- Bardzo dobrze - powiedziała.

- To dopiero początek - odpowiedziała Rosie. W końcu była Prawdziwym Mężczyzną dopiero jeden dzień.



- Mimo to w porządku. Jasno określony cel, sprecyzowane oczekiwania odbiorców, ale...

Rosie zamarła. "Ale" mogło znaczyć tylko jedno, Paige coś się jednak nie podoba.

- Czy masz dziś jakieś oficjalne spotkanie?

- Nie - odpowiedziała Rosie.

Znowu kłamie, ale przecież nie może powiedzieć Paige, że nie poradziła sobie wczoraj z telefonicznym natrętem i zaakceptowała spotkanie Prawdziwego Mężczyzny z niejakim panem Marsem w porze lunchu. Paige nie musi o tym wiedzieć, a Rosie przecież i tak nie pójdzie. Do jedenastej musi coś wymyślić, na przykład wysłać Seta... Choć te niebieskie włosy!

- To dobrze. I jeszcze jedno. Wiem, że masz dużo pracy, ale czy mogłabyś przygotować wstępny szkic artykułu o kotach i kobietach?

Prawdziwe zlecenie dziennikarskie! Oczywiście!

- O dziesiątej trzydzieści musi być gotowe. Tylko uważaj, bo to tekst dla Jane Sharp z działu Sophii Weston. Znasz Jane?

- Tak.

Jane była jedną z najlepszych dziennikarek w redakcji. Zlecenie współpracy z nią było prawdziwą oznaką wyjścia z „kanału”. Co tam wyjścia! Rosie wylatywała z „kanału” w poszumie orlich skrzydeł!

Paige założyła okulary i sięgnęła po leżącą na biurku korespondencję. Odprawa była zakończona.

- Spotkamy się za tydzień o tej samej porze - powiedziała tonem kapitana na okręcie.

- Tak jest, za tydzień o tej samej porze - potwierdziła Rosie.

- Spóźniłeś się - powiedziała Heather, jak zawsze ze słuchawką zatknietą pod brodę.

- Musiałem wyprostować ciężarówkę - zażartował Ben, choć nie była to prawda, bo wypierdek mamuta nie raczył wyjść z szoferki. Jednak Ben musiał znaleźć miejsce do zaparkowania, odbyć długi poranny spacer, wykapać się, ogolić i przebrać.

- Jest wpół do dziewiątej.

- Dziękuję, zegarynko. Pozdrów Karłę ode mnie.

- To pan Nelson, a nie Karla. Był umówiony na ósmą trzydzieści i obiecałeś mu wolne miejsce do zaparkowania.

Rosie! Jakie to nieodpowiedzialne, niesłowne i przewrotne stworzenie! Ale teraz nie czas na rozmyślanie o naturze kobiecej. Pan Nelson był ważnym klientem i jeżeli mieli się spotkać o ósmej trzydzieści to żaden z nich nie mógł teraz jeździć w kółko i szukać miejsca, Heather nie miała prawa jazdy, a na wzywanie drogówki i wywiezienie samochodu Rosie nie było czasu. Heather milczała, podczas gdy pan Nelson mówił. A potem Heather powiedziała „dobrze” i odłożyła słuchawkę.

- Pojechał. Ma następne spotkanie o dziesiątej. Był wściekły - streściła Heather.

- Trudno się dziwić. Za tydzień mamy rozprawę. Mówił coś jeszcze?

- Chce poszukać innego adwokata.

- Coraz lepiej!

Cholerne babsko, bez przerwy pakuje go w kłopoty. A on, idiota, zgadza się na wszystko, bo Rosie ma wspaniałe oczy i odlotowe nogi. Niech to szlag! Nigdy więcej kobiet! Na Marsa! Przy najbliższym spotkaniu potraktuje ją tak, jak na to zasłużyła, a potem będzie się już na zawsze trzymał z daleka od tej obłudnej panienci.

- Muszę przygotować parę rzeczy, a potem wychodzę.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała Heather - i nie mam tego spotkania w terminarzu.

Ale wściekły Mars wszedł już do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Punktualnie o dziesiątej trzydzieści Rosie oddała materiał przygotowany dla Jane Sharp i weszła do redakcyjnej kuchni, by wypić kawę i pogadać z Pam.

- Na gwałt potrzebuję mężczyzny - powiedziała.

- Jerome nie byłby od tego.

- Pam, słoneczko, potrzebuję prawdziwego mężczyzny, a nie Jerome'a. Mężczyzny, który o jedenastej pójdzie na spotkanie do Starbucksa.

- To tym bardziej. W końcu Jerome to profesjonalista.

- Możliwe, ale jeżeli poproszę go o przysługę, to już nigdy przenigdy nie wypłaczę się z zależności od tego drania, a poza tym Jerome jest papłą i na pewno wygada się przed panem Marsem, pan Mars się wścieknie, zadzwoni do redakcji, poprosi Paige do telefonu, zmyje jej głowę, a Paige mnie wyrzuci i będzie miała rację, bo się do niczego nie nadaję i niczego nie potrafię porządnie załatwić, i żegnaj...

- Rosie!

Rosie mówiła dalej.

- Rosie! zamknij się! Mówisz szybciej, niż myślisz. - Pam objęła ją ramieniem. - Myśl pozytywnie. Dostałaś zastępstwo na stanowisku dziennikarskim. Polecono ci wykonanie researchu dla najlepszej publicystki w całej tej budzie. Wykonałaś to dobrze i zdążyłaś na czas. Jedyne problem, z jakim się musisz uporać, to jakieś purnonsensowne spotkanie w snobklubie.

- No - powiedziała Rosie - i nie zdążyłam się uczesać ani ubrać.

- Nie przejmuj się, wyglądasz, jakbyś lansowała styl na niechlujkę.

- Ben też tak twierdzi.

- No proszę. Pożyczył ci dres, powiedział, że niechlujka jest w modzie, a powiedział ci też, że wyglądasz sexy?

- Nie.

Formalnie była to prawda. Ben nie powiedział jej, że wygląda sexy. Rosie trochę się wstydziła. Pam była jej najlepszą przyjaciółką i dotychczas mówiły sobie wszystko, ale teraz nie umiała przyznać się do porannej przygody z Benem. Pam nie wiedziała więc, że owszem, Ben uznał Rosie za niezwykle sexy i dał jej to jednoznacznie do zrozumienia, a ona, w sposób wykluczający wątpliwości, pokazała mu, jak dalece jej to odpowiada. Przez całe rano Rosie nieustannie wracała myślami do tych kilku minut z Benem, do jego mocnego uścisku, do zapachu jego ciała, którym przesiąknięta też była biała bluza, którą Rosie ukradkiem gładziła. Być może była pora, żeby jednak coś opowiedzieć Pam, ale Rosie nie miała czasu. Teraz najpilniejsze było rozwiązanie problemu pana Marsa.

- Moim zdaniem - powiedziała Pam w odpowiedzi na zamyślenie Rosie - powinnaś, po pierwsze, przestać skubać tę bluzę, a po drugie, sama pójść na ten lunch. Powiesz mu, że pana Prawdziwego Mężczyznę zatrzymały nie dające się przełożyć obowiązki. W końcu facet sam jest sobie winien, bo nie dał ci wczoraj szansy powiedzenia, że dzisiejszy termin jest niemożliwy. Przeprosisz go i umówisz następne spotkanie. A jeżeli gość tak potrzebuje życiowej rozmowy, to może porozmawia z tobą.

- Coś ty! On pożąda prawdziwej męskiej rozmowy.

- No to rozmawiaj z nim jak mężczyzna.

- To znaczy jak? - zapytała Rosie i bezwiednie sięgnęła po słoik miodu, stojący na stole.

- Czy ja wiem. Drap się. Przeklinaj co trzecie słowo. Rozmawiaj o sporcie i samochodach.

- Rzeczywiście, bardzo zabawne - obraziła się Rosie, wyjadając miód łyżeczką prosto ze słoika.

- Dziewczyno, nie dąsaj się, tylko popatrz prawdzie w oczy. Jak nie pójdziesz, to facet będzie miał poczucie, że Prawdziwy Mężczyzna wystawił go do wiatru. Jak pójdziesz i przeprosisz, to może wyniknie z tego jakaś sensowna rozmowa, która coś mu da.

Rosie wiedziała, że Pam ma rację. Zwłaszcza że mimo odmiennej płci rozumiała, co czuje człowiek, poddany wszechobecnej obecności płci odmiennej, od której nie może się uwolnić. Poza tym umiała słuchać mężczyzn, co też było doświadczeniem wyniesionym z domu rodzinnego.

- Przykleiłaś się do miodu czy zamyśliłaś? - zapytała Pam.

- Słusznie, nie ma innego wyjścia. Mogę mu przynieść odręczny list od Prawdziwego Mężczyzny.

- Odręczny list? Czy ktoś jeszcze pisze listy? Myślałam, że William korespondował ze wszystkimi za pomocą e-maili.

- Zasadniczo tak. Ale ten facet pisze listy. Staroświecko, ale elegancko. Tyle że koszmarnie bazgroli.

- Nawet by pasowało do starego Williama. Wiesz przynajmniej, jak on wygląda?

- Nie wiem. Nagrał się wieczorem na sekretarkę i powiedział, że wyznacza spotkanie przy stoliku w kącie, za witryną z tortami. Pierwszy będzie czekał na drugiego.

- Tort? - Pam celnie odbiła piłeczkę. Ale Rosie zignorowała żarcik.

- Możliwe, że jest stary. Miał żonę i potem prawie że ożenił się po raz drugi, a wszystko dawno temu.

- To uważaj na siebie. Stare dziadki lubią młode panienki. Popatrz na Williama i Bum Bum.

- Dobra, lecę - powiedziała Rosie, niechętnie rozstając się z lepką łyżeczką po miodzie.

- Zasłodziłaś się na amen, miejmy nadzieję, że to złagodzi twój kaśliwy charakterek - powiedziała Pam na pożegnanie.

W mieście panował niemożliwy upał, ale na szczęście kawiarnia była klimatyzowana. Ben rozejrzał się. Jak zwykle tłumy. Ale liczył na to, że mały stolik za witryną będzie wolny. Był tak ukryty, że jeżeli ktoś nie wiedział, że może tam szukać miejsca, z reguły go nie zauważał. Tym razem było jednak inaczej. Ben już z daleka stwierdził, że przy stoliku siedzi samotna kobieta.

- To ty? - powiedział, podchodząc bliżej. Nie było to zbyt uprzejme powitanie, ale przy stoliku siedziała Rosie.

- Hej - powiedziała Rosie i uśmiechnęła się promiennie.

- Omalże kosztowałaś mnie klienta.

Bursztynowe oczy Rosie rozwarły się na całą anatomicznie możliwą szerokość.

- Ja co...?- zapytała.

- Wpół do dziewiątej! - przypomniał Ben z naciskiem.

- Wpół do... O rany, na śmierć zapomniałam!..

- Czyżby?

- Przepraszam, najmocniej cię przepraszam... - Rosie zerwała się od stolika, a potem siadła. - Co robić? Powinnam teraz popędzić do biura i natychmiast zabrać samochód, ale jestem umówiona. W sprawach służbowych - dodała pośpiesznie.

Ta dziewczyna zawsze i wszędzie ukradnie ci miejsce, nawet w kawiarni.

- Może byś się przesiadła do innego stolika - zaproponował. - Mam ważne spotkanie.

- Ja też.

Jeszcze chwila, a ją uduszę, pomyślał.

- Posłuchaj, Rosie - powiedział. - Rano oddałem ci miejsce parkingowe. Myślę, że byłoby fair, gdybyś mi teraz ustąpiła stolik.

- Przepraszam - powiedziała, wstając. - Przysparzam ci kłopotów i wchodzę ci w paradę, a ty mi naprawdę pomagasz. Stanę z boku i poczekam.

- Dziękuję - powiedział Ben, siadając przy stoliku.

W ciągu następnych pięciu minut oboje lustrowali w milczeniu wchodzących do kawiarni gości, a Ben, jak zawsze w ciągu ostatnich dni, przyglądał się również Rosie. Wydawała mu się coraz podobniejsza do kobiety z portretu Maneta. Ale widok Rosie w ciasnym przejściu między witryną a stolikami przywołał też pewną scenę sprzed prawie dwudziestu lat. Rosie wyglądała jak jego młodsza siostra. Miała szesnaście lat, nową sukienkę i nową fryzurę. Chłopak, z którym była umówiona na randkę, miał przyjechać o szóstej. Piętnaście po szóstej Ben zasugerował, że chłopak jest zapewne z tych spóźnialskich. O wpół do siódmej zmusił ją, by usiadła koło niego na kanapie i nakłonił do pogawędki. Za kwadrans siódma zawyrokował, że chłopak jest zwykłą świnią. O siódmej poprosił, by zechciała pojechać z nim na kolację do eleganckiej restauracji.

Widok bezradnie czekającej Rosie usunął w niepamięć całą jego wściekłość. Rosie była rzeczywiście nieodpowiedzialna i uparta, ale była też świeża, odmienna od innych znanych mu kobiet, inteligentna i, mimo wszelkich walecznych zapędów, delikatna i krucha. Facet, który wystawia taką dziewczynę do wiatru, jest zwykłą świnią.

Wstał i podszedł do Rosie.

- Siadaj - powiedział.

- Nie, dziękuję. Dość już namieszałam.

- Będę nalegał.

Ujął ją za łokieć i poprowadził do stolika.

- Twoje spotkanie... - powiedziała.

- Spóźnia się.

- Mój też.



- Mamy wiele wspólnego - zażartował, myśląc jednocześnie, że wcale nie jest to żart. Naprawdę czuł, że mają oboje wiele wspólnego, choć nie umiałby określić, co to jest. - Zamówię kawę - zasugerował. - Równie dobrze możemy się czegoś napić, nie czekając, aż ci faceci się wreszcie zjawią.

Rosie z przyzwyczajenia samodzielnej kobiety sięgnęła po portmonetkę, ale Ben machnął tylko ręką.

- Za dużo mleka i za dużo cukru do kawy, prawda?

Rosie obserwowała go, gdy szedł do kontuaru. Miał swobodny i pewny siebie sposób bycia, a poruszał się tak, jakby był w stu procentach pewny, że idzie po właściwej ścieżce. Zaufanie do samego siebie to bardzo korzystna cecha u mężczyzny. I świetna figura, to też się jej podobało.

Z zażenowaniem odwróciła się w stronę okna. Do cholery, musi trochę panować nad swoimi odruchami. Przy tym facecie traci kontrolę i poczucie wartości. Napytała mu kłopotów, facet był wyraźnie wściekły i miał o co, a ona zajmuje się ocenianiem jego męskiej sylwetki. Robi rzeczy, których nigdy nie robiła. Przytula się do niego, pozwala się głaskać i obejmować, zachwyca jego szerokimi barkami i szczupłą talią. Bum Bum, bogini erotycznej przygody, znowu wmieszała się w sprawy sówiookiej Ateny. Ben wrócił z dwoma kubkami kawy.

- Koktajl mleczny dla pani i czarny szatan dla pana - zażartował.

- Masz się spotkać z klientem? - zapytała, natychmiast przeklinając w duchu swą głupotę. Słowo klient na pewno przypomniało mu jej paskudną wpadkę z samochodem.

I tak też było, bo Ben powiedział uspokajająco:

- Nie przejmuj się, facet tylko straszył. Nie, mam spotkać się z kimś z redakcji... Tu w okolicy.

Rosie zamarła. Jediną redakcją w promieniu dwu kilometrów był „Prawdziwy Mężczyzna”. Kawałki rozsypanej

łamigłówki złożyły się w jedyną sensowną całość. Ben był panem Marsem!

Zakrztusiła się i przez dłuższą chwilę walczyła z łykiem wrzącej kawy w ustach i łzami w oczach.

- Klepnąć cię? - zapytał Ben tonem dobrego i zatroskanego kumpla.

- Nie, nie - powiedziała Rosie, z trudem łapiąc oddech. - Już w porządku.

Więc to jest pan Mars. Opiekuńczy! W imieniu pana Prawdziwego Mężczyzny wywnioskowała z listu Bena, że wyrastał w domu pełnym kobiet w nieustającej potrzebie, i nieświadomie powtarzał w dorosłym życiu dziecinne mechanizmy zachowań. Dlatego ubrał ją dziś rano przed spotkaniem z Paige. W jego odczuciu kobiety potrzebują opiekuna.

- Myślałam, że nie potrzebuję opiekuna.

- Nigdy nie ośmieliłbym się twierdzić, że jest inaczej. Jeżeli w ogóle, to jesteś raczej...

Zawahał się.

- Raczej? - zapytała Rosie.

- Niezależna.

Niezależna. To prawda, ale czy nadal mogła tak o sobie myśleć? Czy po dzisiejszym poranku Ben rzeczywiście ocenia ją jako osobę niezależną? Tę roztrzęsioną galaretę, bezwstydnie przytulającą się do niemal obcego faceta? Ale z drugiej strony... wystawiła go do wiatru. Znowu naraziła na przeprawy z klientami. Wtedy z kolei słowo „niezależna” skrywa inne znaczenie, znacznie bardziej pejoratywne. Przebojowa karierowiczka? Tak czy owak, mężczyźni nie lubią kobiet niezależnych i przebojowych, a na dodatek potarganych. Lubią wypielegnowane kobietki w minisukienkach i na szpilkach. A ja jestem jak Eliza Doolittle, z sadzą na nosie i w praktycznych półbucikach.

- Już lepiej? - zapytał Ben.

Było lepiej, co najmniej fizycznie, bo psychicznie Rosie czuła się nadal marnie. Ale i tak pokiwała głową.

- A ty z kim się umówiłaś?

- Z mężczyzną.

- Z mężczyzną ogólnie czy szczególnie?

Znowu kpi, pomyślała Rosie. Nabija się z niezależnej kobiety, skazanej na bezradne czekanie w kawiarni. Nagle poczuła, że ma dość roli, którą przyjęła tak dawno, że stała się niemal częścią jej samej, że nie chce być wciąż dzielna, samodzielna i niezależna. Och Bum Bum, pomyślała, to przez ciebie chciałabym być pożądana, fascynująca, kusząca. Chciała być Elizą Doolittle po jej niezwykłej metamorfozie, piękną, elegancką i... powabną damą. W tamtych czasach to słowo jeszcze było w użyciu. Powabna! Niezależne kobiety nie są powabne.

- Z mężczyzną szczególnie. Ciemnowłosym, wysokim i przystojnym.

Ben rozejrzał się po kawiarni.

- Jest tu całkiem sporo panów odpowiadających twemu opisowi. Może byś rzuciła na nich okiem.

- Ani trochę - powiedziała Rosie, nie obracając się ani o milimetr.

- A może się spóźniłaś? Nie byłoby to znowu takie dziwne...

Rosie uśmiechała się do siebie. Tajemniczo.

- No dobrze, nie będę cię już dręczył. A to poranne spotkanie z szefową...?

- Dobrze, nawet bardzo dobrze. Dostałam pochwałę i ekstra zlecenie.

Uuuu! Znowu powiedziała za dużo! I Ben oczywiście to zauważył.

- Jakie zlecenie?

- Res... - Przerwała. Nie może mu przecież powiedzieć prawdy. Jeżeli przyzna się, że pracuje w redakcji, Ben się domyśli, że Rosie przyszła na spotkanie zamiast Prawdziwego Mężczyzny. I tak dziw, że jeszcze się nie zorientował. Musi natychmiast wymyślić historyjkę ulokowaną w ich biurówcu. Możliwości były dość ograniczone, same biura rachunkowe i maklerskie.

- Kontrola sprawozdawczości półrocznej. Nudne, ale odpowiedzialne.

- O rany, pracujesz u tego strasznego rekina?

Bum Bum, zrób coś i to natychmiast, zażądała Rosie. Jak Ben jeszcze trochę podraży, to Rosie zapłacze się na amen we własnych łgarstwach. Mama zawsze mówiła, że grzeczne dziewczynki nie powinny kłamać.

- Od czasu do czasu, na zlecenie. Nie jest zresztą aż taki straszny. No i mam też innych zleceńodawców.

Zabrzmiało nie najgorzej. Najważniejsze, żeby Ben nie wpadł kiedykolwiek na pomysł szukania jej u Tatchera.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Rosie przyglądała mu się ukradkiem, zastanawiając się nad decyzjami człowieka, który postanowił przenieść się na Marsa. Jaki typ mężczyzny odwołuje się do Marsa, rzymskiego boga wojny? Gwałtowny? Wojowniczy? Zdobywczy?

Przyglądała się zdecydowanej linii nosa i mocnemu podbródkowi siedzącego naprzeciw niej mężczyzny. Zauważyła, że ma zmysłowe usta. Na pewno był człowiekiem silnym, ale jednocześnie podatnym na emocje. W liście napisał, że pływa w sinozębym morzu superbyłej, wyjaśniając, że chodzi o byłe kobiety. Ile było tych byłych, żeby można je było metaforycznie zakwalifikować jako „morze”. Poczowała ukłucie zazdrości. Sto? Tysiąc?

- Wolny strzelec? - zapytał Ben.

Strzelczyni, skorygowała w duchu Rosie. Artemida z łukiem. Choć on pewnie nazwałby ją imieniem rzymskiej Diany Łowczyni.

- Mhm - mruknęła, woląc nie precyzować również i tej informacji.

Cokolwiek o niej myślał, dziś na pewno nie mógł jej ocenić jako gadatliwej. Ale może to i lepiej. Ben oczywiście to zauważył.

- Mocno się poparzyłaś? - zapytał, przypisując to jej zachłyśnięciu się gorącą kawą.

- Nie, niespecjalnie. Czemu?

- Wyglądasz tak...

Jak? Jak zazdrosne babsko. Zazdrosne o byłe i aktualne kobiety faceta, który pożyczył jej bluzę od dresu.

- Niezależnie - powiedział Ben, ale nie poprowadził myśli dalej i zmienił temat. - Dużo podróżujesz?

- Nie, ale chciałabym.

- Ja też - powiedział, spoglądając w stronę drzwi wejściowych. Najwyraźniej wciąż jeszcze liczył, że Prawdziwy Mężczyzna się pojawi. - Dokąd chciałabyś pojechać?

- Ach, do wielu krajów. Ale, wiesz... Moim ulubionym filmem jest „Pożegnanie z Afryką”. To taki film na całe życie. Jako dziecko wyobrażałam sobie, że jestem Isaak Dinesen, mieszkam w Afryce i piszę książki.

Rosie nie dokończyła tej myśli i nie powiedziała Benowi, że podobało się jej, że Tania Blixen była kobietą, a pisała jako mężczyzna. Jak dziwnie potrafią się spełniać dziecięce marzenia. Teraz ona była kobietą, a pisała jako mężczyzna.

- Dziwne - skomentował Ben. - Ja też miewam różne fantazje o życiu w Afryce.

- Ale nie powiesz mi, że też chciałbyś być Isaakiem Dinesenem?

Ben roześmiał się i był to prawdziwy, radosny śmiech. Tak prawdziwy, że można mu było wybaczyć morze byłych kobiet. Pan Mars niczym nie przypominał tego wstrętnego Illityga, właściciela równie wstrętnego bmw. Jak on się czuje w skórze prawnika? Nie najlepiej, stąd te marzenia o innym życiu.

- Moją pasją jest... było fotografowanie. Gdybym miał wybrać sobie kogoś na wzór, byłby to pewnie Peter Beard. Robił wspaniałe zdjęcia, wiele z nich w Afryce. Chciałbym pojechać do Afryki i fotografować. Ale najpierw muszę jeszcze wylądować... na Marsie.

Myślał, że ją zaskoczy, ale Rosie też знаła książki Greya. Nie mówiąc oczywiście o tym, że wiedziała, co zaprzęta jego myśli w ostatnich dniach. Ale czuła, że musi uważać na każde słowo.

- John Grey - powiedziała. - Mężczyźni są z Marsa. Wielu mężczyzn rzeczywiście tam żyje.

- Jak neandertalczyki w jaskiniach - zażartował Ben.

- A kobiety są z Wenus. Ale niezbyt mi się to podoba. Myślę, że najlepiej by było, żeby kobiety i mężczyźni żyli częściowo w swoim własnym świecie, ale żeby jednak żyli też przez jakiś czas na przeciwnych planetach. Na pewno lepiej by się rozumieli.

Ostatnia uwaga zaskoczyła nawet samą Rosie. Niezależna wojowniczką, walcząca o wyłączne prawo do własnej przestrzeni życiowej opowiadająca się za wspólnotą. Za dzieleniem się własnym światem z odmienną płcią.

- Twoja propozycja - powiedział Ben po chwili - jest zbyt idealistyczna. I chyba niemożliwa do realizacji.

Oczywiście, co może powiedzieć mężczyzna, któremu kobieta udowodniła właśnie, że nic nie da się dzielić, nawet głupiego miejsca do zaparkowania samochodu. Postanowiła, że bezpieczniej będzie zmienić temat.

- Niezła byłaby z nas parka, Isaak i Peter. Ben podchwycił żart.

- Pojechalibyśmy do Afryki i wspólnie stworzyli książkę, zatytułowaną „Nasze przygody wśród lądu i wody”.

A chociaż oboje żartowali, każde z nich rozmarzyło się teraz na myśl o Afryce.

- Och, dziecinko!

Rosie aż podskoczyła z wrażenia i Spojrzała zdumiona na Bena. Taka odzywka nie była w jego stylu. Ben wskazał oczami na coś za nią. Rosie obróciła się, żeby ujrzeć kogoś bardziej niebezpiecznego niż lew i tygrys razem wzięte.

- Dobrze się bawisz, złotko? - zapytał Jerome, uśmiechając się jak najprzystojniejszy amant filmowy XX wieku.

Rosie zamarła. Jeżeli Jerome zostanie tu choćby przez trzydzieści sekund, sytuacja stanie się nie do zniesienia. I nawet nie z uwagi na jego obrzydliwy charakter. Jeżeli Jerome rozmawiał z kimś dłużej niż minutę, natychmiast zaczynał się przechwalać pracą w redakcji.

Na szczęście Ben sam odpowiednio zareagował, biorąc Jerome'a za owego tajemniczego bruneta, z którym Rosie się umówiła.

- Proszę zająć moje miejsce - powiedział uprzejmie. - Osoba, na którą czekałem, jednak się nie zjawiała. - Skinął głową i wyszedł, zanim Rosie zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Co zresztą mogła mu powiedzieć? Że Jerome, że praca, że propozycje, że zależność, że awans... Nic nie mogła mu powiedzieć...

- Przyszedł niebieski facet i przyniósł list - powiedziała na powitanie Heather.

- Niebieski?

- Z niebieskimi włosami. Myślałam, że z UFO.

Była trzecia. Ben zjadł obiad z jednym z klientów, odbył ważną rozmowę w biurze drugiego i dopiero wrócił. Na biurku numer szyfru, wewnątrz list, zaczynający się od słów „Szanowny Panie Mars”. Ben zastanowił się przez chwilę, skąd Prawdziwy Mężczyzna znał jego adres biurowy, ale przypomniał sobie, że poczta wprowadziła ostatnio nowy rodzaj usług, natychmiastowe dostarczanie listów adresowanych na numery skrzynek pocztowych. Pan Prawdziwy Mężczyzna musiał być świetnie obznajomiony ze wszelkimi nowoczesnymi i staroświeckimi środkami komunikacji międzyludzkiej.

„Szanowny Panie Mars - czytał Ben - niestety sprawy rodzinne uniemożliwiły mi spotkanie z Panem. Przyzna Pan, że zastosował Pan niekonwencjonalny sposób umawiania się, więc mam nadzieję, że nie obciąża Pan nikogo winą, Pragnę jednakże podkreślić, iż ogromnie żałuję, że nie mogliśmy się spotkać ' i podyskutować na temat prawa do własnej przestrzeni, a zwłaszcza zastanowić się nad pytaniem, dzielić czy egzekwować”.

Dziś jest dzień dzielenia się, pomyślał Ben, wspominając bluzę od dresu i podzielony z Rosie stolik w kawiarni.

„Należałoby się zastanowić również nad pytaniem, czy wśród wielu kobiet, jak Pan napisał, nie ma ani jednej, z którą chciałby Pan dzielić czas? Ośmielam się przypomnieć, że istnieją odmienne kobiety, takie, które chcą i umieją być istotami równymi mężczyźnie. Z poważaniem, Prawdziwy Mężczyzna”.

Ben oparł się wygodnie, rozluźnił krawat i rozpiął górny guzik koszuli. Potrzebował chwili spokoju po dniu, w którym tyle rzeczy zdarzyło się nie po jego myśli. Nelson, bardzo poważny klient, wściekł się i zagroził zmianą adwokata, Rosie, której pomógł i zaufał, „odwdzięczyła się”, nie zwalniając zgodnie z umową miejsca parkingowego, wreszcie



Prawdziwy Mężczyzna, na którym Ben spróbował iście po marsjańsku wymusić spotkanie, nie przyszedł. Mimo to nie czuł się przygnębiony. Więcej nawet, miał wrażenie, że przeżył intensywne i ważne przedpołudnie. Wiązało się to z Rosie. „Istnieją odmienne kobiety, takie, które chcą i umieją być istotami równymi mężczyźnie”, napisał Prawdziwy Mężczyzna. Podejrzewał, że Rosie była jedną z takich kobiet.

- Benjamin!

W progu kancelarii stała Meredith odziana w fioletowo-czarne powijaki. Ten sam niesamowity fiolet pokrywał grubą warstwą usta Meredith, a jej potargane włosy nadal przypominały gniazdo sroki. Rosie też miała burzę niesfornych loków, ale... Porównania nie miały sensu. W zestawieniu z Rosie wszystkie kobiety wydawały się niegodne zainteresowania.

- Czy przyniosłaś mi zwykłą, białą ubikację? - zapytał Ben. - Na pewno ją przyniosłaś, skoro nie zdołałaś spowodować, żeby ją założono.

- Właśnie ją instalują - odparła niezrażona Meredith. - Dziś po południu twoja łazienka stanie się znowu twoim zamkiem.

Naprawdę, świetny dzień!

- Znalazłam też do kompletu równie prostą kabinę prysznicową.

- Znakomicie.

- Beniuś! - Głowa Heather pojawiła się nad ramieniem Meredith. - Dzwonił pan Nelson i prosił, żeby cię przeprosić za poranną awanturę. Powiedział, że naprawdę nie ma pretensji, bo kłopoty z miejscami do parkowania są na porządku dziennym.

Coraz lepiej.

- I... - Heather zawahała się - postanowił ci to wynagrodzić.

- Jak?

- Zabiera mnie na kolację do tego Hiper-Super-Mega... Ben wprawdzie nie miał pojęcia, co Heather ma na myśli, ale w taki dzień nawet przekrętki Heather wydawały się mniej nieznośne niż zwykle.

- Ciekawy sposób odwdzięczania się szefowi, ale... Benowi nie dane było dokończyć ani tej myśli, ani tego zdania. Za szczupłymi sylwetkami Meredith i Heather pojawił się bowiem jakiś przeraźliwy olbrzym, który bezceremonialnie wpakował się do kancelarii, mówiąc jednocześnie do kogoś, kto pozostawał w tyle:

- No, to mamy ptaszka!

Na to dictum przez zatłoczone drzwi zajrzały do pokoju kolejne głowy.

Ben był prawnikiem, przyzwyczajonym do najdziwniejszych sytuacji.

- Panowie mają do mnie sprawę? - zapytał uprzejmie.

- Owszem - odpowiedziała góra mięsa, jeżeli to możliwe, jeszcze większa od wypierdka mamuta. - Załatwimy cię na amen.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dlaczego? - zapytał Ben i dodał żartobliwie: - Czy któryś z panów był moim klientem?

Wielu ludzi, podobnie jak wypierdek mamuta, nie lubiło prawników w ogóle, a adwokatów już szczególnie. Ale z górą mięsa nie było żartów.

- Napastujesz naszą dziewczynkę - góra zacisnęła pięść - a żaden facet i żadna papuga nie będzie napastowała naszej dziewczynki.

Meredith i Heather stały do tej pory jak skamieniałe, ale po tej rewelacyjnej informacji obie zgodnie popatrzyły na Bena wzrokiem oburzonym, ale i zaciekawionym zarazem.

- Benjamin? - powiedziała Meredith, podchodząc kilka kroków do jego biurka. Jej zmascarowane powieki trzepotały jak stado dzikich pszczoł, a fioletowe usta drżały. - Napastujesz dziewczynkę? Przecież... mogłeś wrócić do mnie... - wyszeptała już tylko do niego.

Sytuacja była co najmniej niezwykła, ale Ben nawet w takiej chwili nie mógł się powstrzymać od chłodnej obserwacji swej byłej żony. Zawsze tak było. Gdy Meredith przeżywała kolejną porażkę miłosną, w jej głowie pojawiała się niesprecyzowana myśl powrotu do Bena.

- Meredith - powiedział - nie teraz, proszę.

Zamilkła, ale była jeszcze Heather, która też podeszła bliżej.

- Beniuś? - Pytający głos jego byłej kochanki wyrażał zdumienie wielkie jak jej niebieskie oczy. - Do nikogo prywatnie nie dzwonisz, z nikim się nie umawiasz, nawet e-maila nigdy nie wysłałeś. - Oczywiście, pomyślał Ben, nikt nie wie tego lepiej niż twoja własna sekretarka - i potajemnie... napastujesz dziewczynki? To typowe objawy kryzysu wieku średniego...

- Może byście obie zeszły ze mnie, co? - zaproponował Ben. - To chyba nie jest najlepsza pora, żeby omawiać kryzysy osobiste - wskazał brodą w kierunku czterech mężczyzn stojących w progu kancelarii. - Wygląda na to, że na razie mamy do pokonania kryzys... zewnętrzny.

- Myślę, że zaszła jakaś pomyłka - powiedział Ben do góry mięsa i jego towarzyszy. - Nie napastuję nikogo, aktualnie nie jestem nawet z nikim związany. A już na pewno nie z małą dziewczynką.

Góra mięsa też podeszła bliżej, a Ben miał wrażenie, że idąc wprawia w drżenie szyby, lampy i podłogi.

- Nie związany - powiedział facet. - Nachodzisz ją. Obecne w pokoju kobiety nie mogły, po prostu nie mogły przepuścić takiej okazji.

- Ben - wyszeptała Meredith - ile lat ma ta dziewczyna?

- Mężczyźni w średnim wieku często robią takie dziwne rzeczy - dodała Heather, uzbroiwszy się przezornie w ciężki przycisk do listów, stojący zawsze na jej biurku i nigdy nie używany. - Wdają się w bójki, uganiają się za nastolatkami, kupują viagrę...

Viagra! Naprawdę, pomyślał Ben, już chyba lepiej konfrontować się z bandą osiłków niż z dwiema byłymi kobietami, które wszystko wiedzą lepiej.

Ben wstał zza biurka. Sytuacja wyraźnie dojrzała do zmiany taktyki. Postanowił po męsku przyjrzeć się napastnikom.

Przywódca grupy, wielki jak góra, miał na sobie spłowiałe workowate dżinsy i niebieską koszulę farmerską, rozpiętą prawie do pasa i ukazującą włochatą męską pierś. Facet, który stał obok, był nieco mniejszy. Pagórek, pomyślał Ben. I dobrze ubrany. Armani od stóp do głów. Może to jakaś nowa odmiana mafii? Następny gangster był też wielki, ale wyglądał znacznie łagodniej. Nie był tak elegancki jak pagórek, ale w

każdym razie miał na sobie czyste dżinsy i białą podkoszulkę z żółtym „uśmieszkiem”. Schludna górka, zawyrokował w duchu Ben, i nie wygląda na gangstera. Również czwarty członek grupy był istotą schludną i, w przeciwieństwie do pozostałych, którzy tryskali zdrowiem, bladą i dość mizerną.

Byli inaczej ubrani, reprezentowali różne grupy zawodowe, ale było w nich też coś podobnego. Mieli kręcone brązowe włosy i brązowe oczy w różnych odcieniach. No i wszyscy byli napaleni na Bena. Jeżeli Ben chciał się przenieść na Marsa, to życie właśnie mu pokazało, co to znaczy. Mars odwiedził go osobiście, zakpił Ben, i jest to co najmniej trudna wizyta. A może nawet groźna.

- Panowie - powiedział spokojnym głosem, a w każdym razie głosem, o którym sądził, że być może jest spokojny - jestem pewien, że zaszło nieporozumienie. W ostatnim czasie nie spotykam się z żadnymi kobietami, co mogą też potwierdzić moja była żona i moja sekretarka.

Jeżeli nie liczyć dzisiejszej kawy wypitej z Rosie u Starbucksa, pomyślał, ale to był czysty przypadek i się nie liczy.

- To ja - powiedziała Heather, wciąż z kamieniem w ręku, kierując swoją wypowiedź tylko do „Armaniego”. - Jestem sekretarką pana Taylora i nazywam się Heather Krementz.

Może jednak trzeba było zostać na Wenus, pomyślał Ben, pełnej kobiet, które chcą mi urządzić życie, bo Mars jest pełen mężczyzn, którzy na nie dybią.

Czterech facetów stało więc w jego kancelarii, jego była żona patrzyła na niego miłośnie, a jego sekretarka zalecała się do najelegantszego z napastników.

- Heather! - powiedział, przywołując ją do porządku. - Nie musisz już iść?

- No co jest? - zapytała. - Dlaczego zawsze przeszkadza ci wszystko, co robię i mówię?

Jej ton był jednoznaczny. Tak odzywa się kobieta, z którą mężczyzną coś łączy. I nawet jeśli Bena od dawna nic z nią nie łączyło, czterech intruzów nie mogło tego wiedzieć.

- Rany boskie, ale kogut! - warknął ich rozchełstany przywódca. - Masz tu na składzie żonę i kochankę, i jeszcze nachodzisz naszą dziewczynkę.

- Nie nachodzę waszej dziewczynki - powiedział sucho Ben. - To nie jest moja kochanka, tylko sekretarka, i nie żona, a była żona. A panna Kremontz właśnie wychodzi, bo jest umówiona z panem Nelsonem na kolację.

- Z Nelsonem! - wykrzyknęła Meredith głosem pełnym rozpacz.

Jej rozpacz dotyczyła faktu, że Heather idzie na randkę, a ona nie, ale tego gangsterzy też nie mogli wiedzieć.

- Biedactwo - powiedziała pocieszająco góra mięsa. W jego oczach mecenas Taylor był najwyraźniej mężczyzną, który skrzywdzi każdą kobietę.

Znaleźli się obrońcy uciemionych kobiet. Sytuacja była groteskowa, ale mimo to Ben odetchnął z ulgą. Wiedział już, że nie jest to ani napad rabunkowy, ani banda płatnych morderców, lecz mężczyźni owładnięci potrzebą ochrony honoru kobiet. Jak ze średniowiecznych romansów albo włoskich filmów.

I rzeczywiście, góra mięsa stała już koło Meredith, pocieszająco obejmując ją ramieniem wielkim jak udziec wołowy, a Meredith, zacinając się z przejęcia, szeptała właśnie nieskładne wyjaśnienia.

- Mam za sobą ciężki... Kryzys... Kochałam, on... odrzucił.. .. poniżył... - Przytulona do szerokiej piersi błędnego rycerza łkała już bez oporów. - Chciał...

- Co chciał? - zdziwił się wielkolud. - Ogonek?

Ben zamarł, ale oczy Meredith, otoczone smugami rozmazanej mascary, nadal pełne były ufności.

- Pierścionek - poprawiła.

Olbrzym puścił zapłakaną Meredith i podszedł do Bena.

- Natychmiast oddaj jej pierścionek - zażądał.

- Ależ oddałem - powiedział Ben. - Już dawno. Dziesięć lat temu. Oddałem jej też dom, meble i psa.

Dyskusja stała się tak groteskowa, że zwróciło to wreszcie uwagę pozostałych napastników.

- Hej, Dillon - powiedział „Armani” - to nie nasza sprawa. Przyjechaliśmy tu, bo ta papuga napastuje Rosie.

- Rosie - powtórzył Ben. - Rosie.

- Tak- potwierdził facet, nazwany Dillonem. - Napastujesz ją i chcesz jej odebrać jej przestrzeń.

To nie może być prawda, ale nie ma też innego wyjaśnienia. Czy naprawdę Rosie wynajęła płatnych gangsterów, żeby odebrać mu miejsce parkingowe?

- Z prawnego punktu widzenia to raczej panna Rosie odbiera mi moją przestrzeń - powiedział, wiedząc, że to, co mówi, brzmi jak idiotyczny bełkot. Nic dziwnego, że ludzie nazywają prawników papugami. - W gruncie rzeczy jest to nasza wspólna przestrzeń, którą musimy dzielić. Na początku mieliśmy trochę nieporozumień z tego powodu, ale teraz wszystko zostało rozwiązane w optymalny sposób i nikt nie zgłasza roszczeń.

- Nie zgłasza co? - zapytała Rosie, wchodząc do biura. Stała pomiędzy nimi, najmniejsza ze wszystkich obecnych, potargana, zarumieniona i... zła. - Dillon? Co ty wyprawiasz? Nie dość, że narozrabialiście... Mieliście iść na obiad...

- Rosie! - powiedział Ben oskarżycielsko - wynajęłaś gangsterów, żeby...

- Co? Chyba żartujesz. Prawnicy - prychnęła pogardliwie.

- Nie umiem spojrzeć na świat inaczej, tylko przez pryzmat zbrodni i kary. A wy - zwróciła się do rzekomych

gangsterów - zjeżdżać stąd. Już i tak narobiliście dość zamieszania.

- Ależ Rosikosi - powiedział Dillon - przecież sama mi powiedziałaś, że papuga chce ci zabrać...

Ateno, Artemido i Bum Bum, pomocy! - pomyślała Rosie, przypominając sobie swoją niedawną rozmowę telefoniczną z Dillonem. Nigdy, przenigdy nie wolno w rozmowie ze starszym bratem używać metafor, zawsze się bowiem może zdarzyć, że zrozumie je dosłownie. A nawet zbyt dosłownie.

- Nigdy nie mówiłam o nim papuga! - powiedziała Rosie.

- Nigdy nie twierdziłam, że mnie nagabuje! Mieliśmy do rozwiązania problem bardzo konkretnego kawałka przestrzeni, a mianowicie parkingu... - Zbesztany Dillon stał się nagle pokorny jak owieczka. - A w ogóle, dość tego! Moglibyście wreszcie pojąć, że już nie jestem waszą małą dziewczynką! Nie musicie się już mną opiekować! Czy wy w ogóle macie dobrze w głowie? Przejechać taki kawał drogi, z Kansas do Chicago, żeby co...-?! Chcieliście go zlinczować? Jak tego nieszczęsnego Orvilla?

- Była trzecia w nocy - wybąkał Dillon.

- Była niepełnoletnia - poinformował „Armani” Heather.

- Mogła zostać sprzedana do burdelu - zauważył „Blady”.

- Faceci zawsze wykorzystują piękne bezradne dziewczyny - wyznał sentencjonalnie „Uśmiezek”.

- Chodzisz z nimi wszystkimi? - chciała wiedzieć Meredith.

- Zlinczować? - zapytał Ben. Rosie machnęła bezradnie ręką.

- To moi bracia. I tak cud boski, że go nie zabili - dodała, mając na myśli „nieszczęsnego Orvilla”.

Usiadła na jednej z harpii. Była zmęczona. Wyjęła z kieszeni spodniczki pęczek kluczy.



- To są klucze od mieszkania. A to od dodge'a. Zjeżdżajcie. W lodówce są resztki „resztówki”...

- Kupimy sobie hamburgery - powiedział „Blady” zdumiewająco pospiesznie.

- A jak ty wrócisz do domu? - zapytał Dillon.

- Poproszę Pam. - I zanim któryś z braci mógł rozpocząć następne indagacje, dodała: - To moja koleżanka z pracy.

- Mogę cię zawieźć - zaproponował Ben.

- Wolę, żeby odwiozła ją koleżanka - poinformował Bena „Uśmieszek”.

- A ja wolę, żebym to ja ją odwiózł - poinformował Ben „Uśmieszka”.

Przez moment wszyscy czterej bracia przyglądali się Benowi.

- O której ją przywieziesz? - zapytał „Blady”. Rosie westchnęła.

- Posłuchajcie, moi drodzy. To nie jest mój chłopak i nie chodzi o przywiezienie mnie do domu po randce.

- A może któryś z was odwiózłby mnie do domu? - zapytała Heather.

- Zawsze jeździsz autobusem - powiedział Ben.

- Dziś nie mam czasu.

- Dobrze, zawiozę cię - powiedział Ben niezbyt ochoczo.

- Nie ma potrzeby, on mnie na pewno chętnie odwiezie

- odparła Heather, patrząc na „Armaniego”.

- W moim dodge'u są tylko dwa miejsca - zauważyła Rosie.

- To sportowy samochód - dodała z dumą. Dodge był wprawdzie stary i rozklekotany, ale za kierownicą sportowego samochodu Rosie czuła zawsze, że zagarnia jakieś przestrzenie, przedtem zarezerwowane tylko dla mężczyzn, i uczucie to dawało jej sporo satysfakcji.

- Ja też mam samochód - powiedziała Meredith - i mogłabym cię podrzucić.

- Kogo? - zapytały Rosie i Heather jednocześnie.

- Jego - odpowiedziała, mając na myśli górę mięsa.

- Muszę jechać pikapem.

- Hoss i ja chętnie z panią pojedziemy - powiedział „Uśmiezek”.

- A potem pójdziemy na lody - powiedziała Meredith do Dillona.

Bracia Rosie i Meredith wyszli, dyskutując zawzięcie, kto z kim i czym będzie mógł pojechać. Heather siedziała w swoim pokoju i telefonowała.

- Heather - odezwał się Ben. - Jesteś umówiona z panem Nelsonem.

- Już nie - odparła, odkładając słuchawkę. - Powiedziałam mu, że mam strasznie dużo pracy w biurze.

Zanim Ben zdołał się odezwać, Heather wzięła torebkę i wybiegła, zapominając w pośpiechu powiedzieć do widzenia. Rosie i Ben usiedli na dwóch harpiach i westchnęli z ulgą.

- Ale kocioł - powiedział Ben.

Rosie zareagowała natychmiast w typowy dla siebie sposób. Panna Niezależna nie potrzebuje niczyjej łaski.

- Naprawdę mogę poprosić Pam, żeby mnie odwiozła.

- A to czemu? - zapytał.

- Nie jestem w potrzebie.

Miała tak okropną ochotę na to, by Ben ją odwiózł, że po prostu musiała ją w sobie pokonać. Musiała patrzeć realnie. Było dokładnie tak, jak powiedziała. To nie był jej chłopak i nic nie zapowiadało, by kiedykolwiek miał nim być. A jeśli tak, było znacznie lepiej dla niej trzymać się od niego z daleka. Zbyt jej się podobał, by mogła na dłuższą metę poradzić sobie z tym dylematem.

- Jeżeli kobieta akceptuje uprzejmość ze strony mężczyzny, nie znaczy jeszcze, że jest bezradnym kociątkiem ani że jest, jak to nazwałaś, w potrzebie.

Siedząc w samochodzie Bena, Rosie zachowywała się nie tyle jak mała dziewczynka, co jak mały chłopiec. Jazda bmw była dla niej nowym doświadczeniem. Najpierw długo ustawiała najwygodniejszą pozycję przedniego siedzenia. Ben, którego rozbawiło szczeniakowate zainteresowanie Rosie dla elektronicznych gadżetów, zaproponował jej, by włączyła klimatyzację, którą Rosie bawiła się jeszcze dłużej niż pilotem do foteli, uzyskując w efekcie łagodny strumień chłodnego powietrza, filmowo rozwiewający jej loki.

Jakie to wszystko było przyjemne. Rosie otrząsnęła z siebie przeżycia dzisiejszego dnia, Paige, Jerome'a, biuro, pracę, braci. A najprzyjemniejsze było jechać przed siebie w towarzystwie Bena. Był dobrym kompanem. Nie czynił jej wyrzutów z powodu karygodnej napaści czterech braci osiłków, nie gniewał się o to, że przez nią musiał zaparkować auto w jakiejś odległej bocznej uliczce. Musieli przejść dobry kilometr, zanim dotarli do samochodu. A gdy już byli na miejscu, Ben otworzył przed nią drzwi samochodu! Uuuu, super! Rosie wiedziała z doświadczenia, że mężczyźni w Chicago, a może nawet w całej Ameryce, nigdy tego nie robią, tak jak nie ustępują miejsca w metrze, nie podają kobiecie płaszcz a i nie przytrzymują drzwi przed wejściem do lokalu.

- Chcesz posłuchać muzyki? - zapytał.

- Jasne - powiedziała Rosie, natychmiast gotowa do zabawy z wyłącznikami na konsoli.

- Nie, nie - zaprotestował Ben. - Jestem tu gospodarzem i jeżeli pozwolisz, muzyką zajmę się sam.

Wnętrze samochodu wypełniły dźwięki fortepianu. Rosie przez chwilę w milczeniu słuchała, przejęta powagą i emocjonalnym ładunkiem muzyki.

- Ładne - powiedziała. - Co to za kawałek?

- Beethoven. Sonata czternasta zwana Księżycową.

Księżycowa. Pomyślała o dziwnym księżycowym obrazie w biurze Bena i skojarzeniach, jakie w niej wywołała skąpiana w nocnej poświacie tropikalna plaża. Ben i ona w świetle księżyca.

- Robi wrażenie - powiedziała, nie precyzując, czy ma na myśli Bena czy Beethovena.

- Sprawdziłaś sprawozdanie? - zapytał Ben.

- He? - prychnęła Rosie, nie bardzo wiedząc, o czym Ben mówi. Rany, sprawdzić sprawozdanie! To mu właśnie nabujała dziś w południe. Musi się w dwójnasób pilnować, uważać, o czym nie wolno mówić, a na dodatek pamiętać, co skłamała. - Mhm. Skończyłam. Obrzydliwa robota! Nie mam nawet siły o niej rozmawiać.

- W porządku - zgodził się i poszukał innego tematu. - Twoi bracia przejechali kawał drogi z Kansas.

- Nie całkiem. Dillon i Pal przyjechali ciężarówką Dillona, a Hoss i Bat przylecieli samolotem.

- Nieźle - skomentował Ben.

- Bat nie jeździ „samochodami śmierci”, tak mówi a Hoss ma dość pieniędzy, żeby latać, zamiast tłuc się po nocach.

- Hoss, Bat? Co to za imiona?

- Wszyscy czterej dostali imiona bohaterów z „Bonanzy” i mam tu na myśli ten przedpotopowy serial, a nie wielki interes do ubicia. Hoss nigdy nie przepadał za swoim imieniem. Jako chłopak wciąż się z kimś tłukł, kto pozwalał sobie na żarciki w tej materii. Teraz wyrósł z bójk i właśnie kończy prawo.

- Zaprawa w bójkach dobrze się przydaje na sali sądowej - zażartował Ben. - Czy Rosie też jest z „Bonanzy”?

- Nie. Jak się urodziłam, a byłam ostatnia w kolejce, mama zaprotestowała. Powiedziała ojcu, że on nadał imiona chłopcom, a teraz ona znajdzie imię dla dziewczynki. Ojciec

uwielbiał stare westerny, ale mama uwielbiała jeszcze starsze melodramaty. Rosalind Russel była ongiś słynną gwiazdą filmową, dziś nikt jej nie pamięta, ale mama bardzo ją lubiła.

- Rosalind - powiedział Ben powoli, delektując się każdą sylabą.

- Mama czasem tak do mnie mówi, najczęściej, gdy się wystroję na jakieś wielkie wyjście.

To były miłe wspomnienia. Na przykład bal na zakończenie college'u. Mama uszyła jej długą suknię, pierwszą w życiu. Z różowego jedwabiu i koronki. Gdy Rosie wychodziła z domu w towarzystwie Orvilla, mama powiedziała: „Rosalind, jesteś taka piękna”.

- To im się często zdarza? - zapytał Ben.

- Co i komu? - zapytała Rosie, zdejmując w myślach swą pierwszą balową suknię.

- Twoim braciom? Często spieszą ci na ratunek, pokonując drogi i bezdroża?

- Nie, jak dotąd odprawiali ten rytuał, póki byłam w domu. Jak wyjechałam, siedem miesięcy temu, ograniczyli się do tygodniowej kontroli telefonicznej. Przyjazne pogawędki, zazwyczaj w sobotni poranek. Bardzo wcześnie. Moi braciszkuje sprawdzają, co robię, czy żyję i czy nocowałam w domu. Ale, przyznaję, powinnam się była domyślić.

- Poniekąd mogę zrozumieć ich uczucia - przyznał Ben. - Też mam młodszą siostrę.

' - No dobrze, ale też wskakujesz do samolotu lub pędzisz na drugi kraniec kontynentu, tylko dlatego, że wyimaginowałeś sobie, że jakiś mężczyzna może jej sprawiać kłopoty?

- Myślę, że byłbym w stanie to zrobić, gdybym miał poczucie, że rzeczywiście coś takiego się dzieje. Jesteś ostatnim dzieckiem w rodzinie, więc na zawsze przypisano ci rolę dziecka. A teraz walczysz sama w wielkim, wrogim

mieście. Gdybyś była moją siostrą i coś by ci zagrażało, na pewno natychmiast pospieszyłbym ci z pomocą.

- Aniele Boży, stróżu mój - powiedziała Rosie. - Dziecko i siostra, oto za kogo mnie uważasz.

Była rozgoryczona. Czy nigdy żaden mężczyzna nie będzie patrzył na nią inaczej?

- Przeciwnie. Uważam cię za coś, przepraszam, oczywiście za kogoś, nadzwyczaj cennego.

Cennego? Dziwne, ale cenne słowo. Rosie usiadła wygodniej. Luksusowy samochód, mężczyzna z klasą, muzyka wywierająca wrażenie i cenna kobieta. Och, życie jest cudowne.

W kwadrans później podjeżdżali pod dom Rosie. Była to niewielka, staromodna kamienica czynszowa. Z szeroko otwartych okien dobiegały strzępy muzyki, rock, country. Po chodniku jeździły dzieci na wrotkach i hulajnogach. Matki wołały przez okno, że podwieczorek na stole. Rosie zawstydziała się nagle swego prostego otoczenia. Ben mieszka na pewno w dzielnicy, gdzie ludzie słuchają tylko klasyki i nikt nie krzyczy przez okno, że trzeba wynieść śmieci.

- Wsiądę tu, nie musisz szukać miejsca parkingowego - powiedziała szybko.

- Odprowadzę cię - odpowiedział Ben.

- Nie, nie musisz, naprawdę mogę sama...

- Nie. - Ben krótko i zdecydowanie uciął wszelką dalszą dyskusję. Rosie zamilkła i popatrzyła na niego zaskoczona. Wielka i mocna dłoń Bena spoczęła na opalonej ręce Rosie. - Nie i już. Po pierwsze dlatego, że muszę cię całą i zdrową oddać braciom, a po drugie dlatego, że mam ochotę jeszcze z tobą pobyć i popatrzeć na ciebie. Czy jasno się wyraziłem?

Jego głos był zdecydowany, niemal surowy, ale jego oczy patrzyły na nią ciepło, ciepłej, coraz ciepłej. Gorąco? Jego

oczy były gorące, tak jak jego dłoń. Rosie czuła się cenna, piękna, powabna.

- Rosalind - powiedział - jesteś taka piękna. Mężczyźni nie powinni mówić takich rzeczy niezależnym kobietom o chłodnym umyśle Ateny, bo zawsze może się okazać, że obudzą w nich tajemniczą boginię Bum Bum. Rosie podniosła rękę i dotknęła twarzy Bena, zarysowując delikatnie linię jego ust. Ma zmysłowe usta, pomyślała znowu. Niebieskie oczy patrzyły na nią z zachwytem. Jego dłoń dotknęła twarzy Rosie i przyciągnęła ją do siebie.

Ach, jak cudownie jest czuć usta Bena na swoich. Jak cudownie jest móc odpowiedzieć na jego gorący pocałunek. Jak cudownie jest być cenną, powabną i piękną. Ben całował twarz Rosie, szyję i to dziwne miejsce, zwane przez mamę solniczką. Ale Rosie nie była już podlotkiem z solniczkami. Była kobietą, odpowiadającą w uniesieniu na pieszczoty mężczyzny. Całe życie czekała na tę chwilę, na tę pasję, na uczucie, które obudzi w niej uśpioną boginię miłości, na pocałunki, pieszczoty, gwałtowne bicie serca... Bum bum bum.

- Co to?

- Moje serce - odpowiedziała Rosie.

- Nie sądzę - powiedział Ben, odrywając się od niej.

- Rosie musi już wrócić do domu - powiedział męski głos.

Rosie i Ben popatrzyli na siebie, a dopiero potem zdecydowali się wyrzucić przez okno.

Na ulicy stało czterech braci Rosie. Bonanza, pomyślał Ben.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Budzik dzwonił już pięć razy. Rosie miała wielką ochotę znowu go przesunąć, ale nawet przez sen wiedziała, że nie może, że musi natychmiast wstać i jechać do pracy. Była potwornie niewyspana. Cały wieczór rozmawiała z braćmi, a to długo trwało. Bezskutecznie usiłowała ich przekonać, że Ben jest porządnym facetem i szanowanym prawnikiem, a nie gagatkiem czyhającym na niewieścią cnotę. A potem, gdy wreszcie wszyscy poszli spać, godzinami przewracała się na łóżku, nie mogąc zasnąć, podczas gdy z sąsiedniego pokoju dobiegało donośne chrapanie jak dziki kwartet smyczkowy dzikich barbarzyńców.

Natychmiast trzeba wstać! Dzisiaj oczywiście Ben miał prawo parkowania na ich wspólnym miejscu, więc Rosie musiała przyjechać odpowiednio wcześniej, znaleźć miejsce, przejść na piechotę do biura i nie spóźnić się! Wygrzebała się wreszcie, wykapała i starannie ubrała. Weszła do sąsiedniego pokoju, który i tak był nieduży, ale teraz, wypełniony po brzegi jej braćmi, dosłownie pękał w szwach.

Oczywiście musiała jechać jak szalona przez całe miasto, a parking znalazła dopiero w odległości pół kilometra od biura. Oczywiście musiała przebiec całą tę trasę i pocieszać się, że zawsze dobrze umiała biegać, lepiej od wszystkich znanych jej kobiet i większości znanych jej facetów. Mimo to zasiadła za biurkiem dopiero o ósmej czterdzieści. Fatalnie.

- Trochę spóźniona - powiedziała Pam, opierając się o biurko Rosie.

- Samochód. Musiałam zaparkować o mile stąd. No dobra, kilometry, ale czuję się, jakby to były mile.

- Nie ma problemu, szefostwo nadal obraduje. - Pam pochyliła się w stronę przyjaciółki. - Co robiło tu wczoraj tych czterech wielkich facetów? Wielbiciele Prawdziwego Mężczyzny?



- Na swój sposób, ale naprawdę życie nie jest aż tak fascynujące. To moi bracia.

Pam popatrzyła na rodzinne zdjęcie na biurku Rosie.

- W naturze wyglądają nieco inaczej. Chyba są... więksi.

- Postukała dłonią w fotografię. - A co ich sprowadziło? Nagły przyływ uczuć rodzinnych?

- Można by to tak nazwać - powiedziała Rosie, włączając komputer. - Nieoczekiwany nagły przyływ uczuć rodzinnych.

Opowiedziała przyjaciółce co nieco z wczorajszych przeżyć, pomijając jednak milczeniem będącą przedmiotem rodzinnej dyskusji sprawę „załatwienia raz na zawsze tego cholernego bubka”, czyli Bena.

- Specjalna poczta do pana Prawdziwego Mężczyzny - powiedział Seth, wchodząc do biura. - Była w recepcji z samego rana. Ten facet naprawdę pilnie potrzebuje porady.

Rosie z daleka rozpoznała pismo pana Marsa.

- Mounty Rushmore kręcił się wczoraj koło twojego biurka - doniósł Seth - ale proszę mnie o nic nie winić, nigdy w życiu nie powiedziałbym nikomu, że pan Prawdziwy Mężczyzna to laska.

- Nawet by mi nie przyszło do głowy, żeby cię podejrzewać - upewniła go Rosie.

- No nie wiem. Trochę mi się nie podobało, jak Rushmore tu węszył i do tego jeszcze ta gromada wściekłych facetów.

- Rodzina - mruknęła Rosie.

- Rodzina - pomedytował przez chwilę Seth. - Dobrze, że dali ci trochę inne geny. Mniejsze - dodał, zauważywszy zdziwione oczy Rosie.

Wyszedł, a Pam usadowiła się wygodniej na biurku Rosie.

- List od bazgrołającego dżentelmena starej daty?

- Pan Mars - odpowiedziała Rosie, bezwiednie rumieniąc się po czubki uszu. Po wczorajszej przejażdżce Ben nie był już

staromodnym dżentelmenem. Był dziki, władczy i zdobywczy. Był Marsem! A ona była Wenus!

- Rumienisz się, moja panno. - Pam przyjrzała się jej spod oka. - Przystojny?

Przystojny? Też pytanie!

- Muszę ci coś powiedzieć, Pam - Rosie zawahała się. - Dostałam się we władanie bogini Bum Bum.

Rosie była niewątpliwie oryginalną młodą kobietą i Pam umiała w niej to docenić. Ale tym razem chyba trochę przesadziła z tajemniczością.

- Bogini Bum Bum - powtórzyła. - Poddaję się. Czy mogłabyś mi trochę pomóc?

Rosie chrząknęła. Szczera rozmowa z przyjaciółką nigdy nie była jej najmocniejszą stroną. Pam też to wiedziała.

- Słuchaj, ty moja skryta bogini, żądam wyjaśnień.

- Ostatnio zastanawiałam się nad tym, jak mogłabym... zmienić się, nauczyć się akceptacji przygody. Stać się choć trochę jak Bum Bum. Zawsze byłam taka, no, zajmowało mnie... Chciałam zrobić karierę i wyrwać się z „kanału” w wielki świat. Ale teraz... wymyśliłam sobie... boginię Bum Bum. Nie, nie wymyśliłam... Dostałam się w jej władanie i to mnie zmieniło. Jestem... - Przerwała. Jaką osobą stała się porządna Rosie?... Nienasycona, żadna pocałunków i pieścizot, zdolna do upojenia...

- Masz gorączkę? - zapytała Pam, przykładając dłoń do czoła Rosie. - Pokaż język.

- Nie jestem chora. Mówię poważnie. Od czasu, gdy muszę udawać, że jestem mężczyzną, stałam się inną kobietą. Odnalazłam wewnętrzną Bum Bum.

Pam pokręciła głową tak gwałtownie, że wielkie złote kolczyki delikatnie zadzwoniły.

- W jaki sposób przeskoczyliśmy z Marsa do bogini Bum Bum?

Rosie głośno przełknęła ślinę.

- Facet ze Starbucks... to ten sam, któremu ukradłam kubki.

- Ten prawnik? - zapytała Pam z przejęciem.

- Mhm.

- Dziewczyno - powiedziała Pam, przeciągając ten wyraz do granic niemożliwości. - Dziewczyyno! Komplikujesz sobie życie nie gorzej niż jakaś bohaterka mydlanej opery. Po pierwsze - Pam zaczęła odliczanie na palcach - facet myśli, że nareszcie znalazł kumpla. Po drugie, nie wie, że jego listy, mające być prawdziwą męską rozmową, czyta ubłocona sroka, która kradnie mu kubki.

- Po trzecie - dodała Rosie, też wyliczając na palcach - całowałam się z nim wczoraj jak szalona na przednim siedzeniu jego samochodu, niestety... - westchnęła - na oczach moich braci.

Pam z wrażenia mało nie spadła z biurka.

- Raaany!

- Braciszkanie nie byli specjalnie zadowoleni - powiedziała Rosie ponuro.

- A ty byłaś? - zapytała Pam.

- Było niesamowicie! Przez całe dwie minuty! - Niesamowicie? Modny wyraz wydał jej się mało wyrazisty w stosunku do pasji i żaru tych dwóch minut. - Ale wtedy moi braciszkanie zaczęli trząść samochodem. Kazali mi wysiąść. Wrzeszczeli na Bena jak opętani. Ale to go specjalnie nie zdziwiło, po tym jak...

- Jak?

- Jak... no... bo wcześniej zagrozili mu, że go zabiją. Kolczyki Pam dzwoniły jak wielkie dzwony.

- Rany boskie. Jak na małą prowincjonalną gąskę władowałaś się w całkiem niezłą, wielkomięjską aferę

damsko-męską. Jerome, pan Mars, kto jest następny w kolejce?

Pam roześmiała się swawolnie i wstała z biurka.

- Muszę lecieć. Szkoda. Chętnie posłuchałabym następnego odcinka serialu pod tytułem „Gdy nadeszła Bum Bum”. - Już w drzwiach Pam obróciła się w stronę Rosie. - A gdybyś potrzebowała koleżanki na podwójną randkę, chętnie służyć...

Randkę? - zastanowiła się Rosie. Czy dwie minuty w samochodzie oznaczają, że Rosie będzie teraz chodziła na randki z Benem?

Obracała w dłoniach list od Bena, czując, że wypełnia ją nieznane, gorączkowe podniecenie. Była rozdygotana jak na karuzeli. Ręce jej się trzęsły i dopiero po trzykrotnych próbach udało się jej wreszcie otworzyć kopertę. Poczowała bolesny ucisk w brzuchu na widok cudownego pisma Bena. Najbardziej męski charakter pisma, z jakim się kiedykolwiek zetknęła.

„Szanowny Panie, oczywiście rozumiem, że sprawy rodzinne wymagają pierwszeństwa, nie musi więc Pan przeproszać. Nie pojawił się Pan na naszym spotkaniu, a ja tymczasem odbyłem spotkanie, którego efektem jest wspólne użytkowanie pewnej przestrzeni. Przestrzeni życiowej i żywotnie ważnej”.

A więc Ben tak ją widział. Jako istotę cenną i żywotnie ważną. I piękną. Przypomniała sobie jego spojrzenie i niski, stłumiony głos. Jesteś taka piękna, Rosalind. To spojrzenie otworzyło tajemne drzwi jej serca. Odrzuciła wszystko, co przez całe życie akceptowała jako słuszne i właściwe, aby jak szalona rzucić się w ogień.

Zwilżyła wargi.

„Po raz pierwszy - pisał dalej pan Mars - spotkałem kobietę, o której istnieniu Pan uprzednio wspominał. Niezależną, żądną przygód, uczciwą”.

Rosie wstrzymała oddech. Ben już przedtem nazwał ją osobą niezależną. Snuli fantazje o przygodach w Afryce, więc zapewne uważa, iż jest żadna przygód. Ale uczciwa? Poczucie winy boleśnie zakłuło w dołku. Nie, Rosie na pewno nie jest uczciwa. Teraz też nie. Czytała bardzo prywatne wyznania, nie przeznaczone dla jej oczu. Uczciwa? Udawała, że jest Prawdziwym Mężczyzną. Odpowiadała na listy Bena jako Prawdziwy Mężczyzna. Czuła wstyd i lęk. Jeżeli Ben dowie się kiedykolwiek o tej mistyfikacji, Rosie straci go na zawsze.

„W całej sprawie jest tylko jeden szkopuł, bo nachodzą mnie jej bracia” - pisał dalej Ben.

Rosie zadrżała. Znowu? Wczoraj w nocy Rosie do upadłego powtarzała braciom, że Ben jest wspaniałym i uczciwym człowiekiem, a jego największym grzechem był niezawiniony przez niego fakt, że przyszło im dzielić wspólne miejsce parkingowe. Pomijając dwuminutowy epizod w samochodzie, Ben był dżentelmenem. A za te dwie minuty odpowiadają w równym stopniu oboje. Po długiej i wyczerpującej dyskusji Rosie wymogła na braciach obietnicę, że przestaną molestować Bena.

Opanowując skurcz niepokoju, Rosie czytała dalej. „Napisałem Panu, że chciałbym odnaleźć drogę na Marsa. Teraz jednak zastanawiam się nad tym, czy możliwy jest powrót na Wenus. Jaka szkoda, że nie ma planety pośredniej”. Więc jednak przyjął jej teorię życia po części na Wenus, po części na Marsie. „Nie musi Pan odpowiadać na ten list. To ja czułem potrzebę podziękowania Panu za Jego głęboko życiowe porady. Z poważaniem, Mars”.

List nosił wczorajszą datę. Ben napisał go zaraz po powrocie do domu. Dlaczego? Jeszcze raz wróciła myślami do minionego popołudnia. Bracia Rosie zachowywali się potwornie. Straszili Bena malowniczymi torturami, ale Ben

zachowywał się z zachwycająco chłodnym spokojem. Prawdziwy Mars.

Gdy fala emocji nieco opadła, Ben powiedział, że odprowadzi Rosie, ponieważ, jak twierdził, zawsze towarzyszy kobiecie aż do drzwi jej domu. To miało naprawdę klasę. Poszli więc razem i gdy Rosie weszła już do holu, Ben uściskał dłonie wszystkich czterech braci Myers. Dlaczego więc po powrocie do domu napisał taki list?

Dillon został na ulicy. Powiedział, że idzie kupić hamburgery. Czyżby wsiadł do ciężarówki i pojechał za Benem? Jeśli tak, to dzisiejszy dzień zapowiadał się jeszcze koszarniej niż wczorajszy. Rosie próbowała uprzytomnić sobie, co wie o planach jej rodziny na dziś. Dillon chciał obejrzeć krowy na ulicach Chicago, Bat miał spotkanie służbowe. Pal chciał pójść do siłowni, a Hoss poszperać w antykwariatach. Nie było mowy o żadnym „nachodzeniu”. Ale Rosie nie mogła do końca ufać braciom, zwłaszcza jeżeli uznali, że sytuacja wymaga interwencji.

Nerwowo zginała i rozginała jeden ze złotych spinaczy Williama, podczas gdy jej przestraszony umysł pracował na najwyższych obrotach. Jeżeli pójdzie teraz do biura Bena, by sprawdzić, co się tam dzieje, Ben na pewno się domyśli, co w trawie piszczy. Ależ nie, oczywiście! Dres! Wczoraj po południu Rosie uprała go i uprasowała. Może, a nawet musi iść do Bena i oddać mu jego własność.

Wyrzuciła zmaltretowany spinacz do śmieci, wzięła paczkę z dressem i wyszła.

Ben przyszedł do biura dopiero o dziewiątej trzydzieści. Na progu zamarł z przerażenia. Heather w sukience, jeśli to możliwe, jeszcze krótszej niż zwykle, siedziała na kanapie. Miała srebrne sandały i srebrne paznokcie u rąk i nóg. Normalnie Ben nie zwróciłby najmniejszej uwagi na takie szczegóły, ale dzisiaj nawet ślepiec musiał zauważyć stopy

Heather, bo trzymała je we wdzięcznej pozie na kolanach Bata, czyli „Armaniego”. Trrr. Trrr.

- Telefon - powiedział Ben do Heather.

- Skreśliłam nogę w kostce - odpowiedziała. - Dzisiaj Pal ma dyżur.

Pal odbierał telefon, trzymając nogi na biurku. Przywitał Bena nieznacznym ruchem dłoni, zwracając się jednocześnie uprzejmie do słuchawki:

- Biuro pana Beniusia Taylora, dzień dobry.

Heather szeptała coś do ucha Bata, z czego oboje serdecznie się zaśmiewali.

- Pal - powiedział Ben. - Mam na imię Ben, a nie...

- Wiem - powiedział Pal - ale to Karla...

- Nie mogę teraz rozmawiać - powiedziała Heather. - Powiedz, że zadzwonię później. Skreśliłam nogę.

Zanim Ben zdołał dobrać się do siebie, od progu dobiegł go radosny głosik Meredith.

- Ach, Ben, jak to słodko, że już jesteś.

Ben obrócił się gwałtownie i z wrażenia omal nie upuścił aktówki.

Meredith miała na sobie obcisłe dzinsy i czerwone kowbojskie buty. Zrezygnowała też z pałeczek do ryżu na rzecz skórzanego kapelusza. W przeciągu niespełna doby japońska gejsza przeistoczyła się w swojskie dziewczę z Teksasu. Obok stał Dillon, wielka włochata góra mięsa, w błękitnej, rozpiętej do pępka koszuli.

- Benjamin - zaćwierkała Meredith, a Ben z przyjemnością odnotował, że nie mówi już do niego „kochanie”. Bogu niech będą dzięki, kryzys podexterowy minął. - Objemy twoją kanapę spłowiałą błękitną dywetyną w stylu country. To takie teraz modne!

- My? - zdumiał się Ben, patrząc na Dillona. Ten facet był w stanie obić dywetyną Empire State Building! Bez

konieczności używania drabiny! Ale pał diabli kanapę. Ben musiał załatwić z Dillonem znacznie ważniejsze sprawy.

Meredith podsunęła Benowi pod nos skrawek jasnoniebieskiego materiału, który postarał się zignorować, choć ten kolor do złudzenia przypominał jego ulubiony błękit indygo, nazwany przez Heather sinym.

- Dlaczego wczoraj za mną jechałeś? - zapytał i wtedy z sąsiedniego pokoju wyszedł Hoss. Z sąsiedniego pokoju, czyli jego własnej kancelarii!

- Słuchaj, przeglądałem właśnie akta sprawy DeMorney kontra Lauren, ale nie mogę znaleźć werdyktu. Czy masz może dzienniki sądowe, w których mógłbym to sprawdzić?

- Sprawdzić co? - zapytał Ben. - Nie pomyliłeś mnie przypadkiem z biblioteką Instytutu Prawa? A poza tym rozmawiam właśnie z twoim bratem. Dillon, jechałeś wczoraj za mną?

Ktoś zapukał do drzwi. W progu pojawił się posłaniec.

- List do pana Marsa - powiedział.

Siedem zgromadzonych w pokoju osób w milczeniu przyglądało się jego błękitnym włosom.

- Czy coś się stało? - zapytał posłaniec. - Mam list dla kogoś, kto nazywa się Mars.

- Pomyłka - zapiszczała Heather z kanapy. - Pan Mars tu nie pracuje.

- Wezmę to - powiedział Ben. - To dla mojego klienta.

- A jeżeli nawet jechałem za tobą, to co? - zapytał Dillon. - To wolny kraj i wolno mi jechać, dokąd zechcę.

- Możliwe, ale mnie wolno powiedzieć, że wcale mi się to nie podoba.

W pokoju znowu zapadła cisza, przzerwana nagłym dzwonkiem telefonu.

- Biuro pana Beniusia Taylora - powiedział Pal.



- Mam na imię Benjamin - warknął Ben - i jeżeli zamierzasz zarabiać na życie jako recepcjonista, musisz się nauczyć przestrzegania obowiązujących norm.

- To pan Nelson - odpowiedział Pal z niezmaconym spokojem, zasłaniając słuchawkę dłonią. - Pyta, czy może skorzystać z twojego miejsca na parkingu.

- Powiedz mu, żeby sobie, do cholery, poszukał innego miejsca, a jeżeli mu się to nie podoba, to niech sobie poszuka innego prawnika.

Pal odchrząknął.

- Bardzo mi przykro, proszę pana - powiedział do słuchawki. - Pan Taylor ma w tej chwili niecierpiące zwłoki terminy zawodowe i niestety nie jest w stanie zająć się tą sprawą.

Ben z zainteresowaniem przyglądał się młodemu człowiekowi za biurkiem. Facet był dobry.

- A jeżeli nawet jechałem za tobą, to co? - powtórzył Dillon zaczepnie.

- Odbieram to jako nachodzenie mnie, a zatem naruszenie mojej sfery prywatnej, zwłaszcza po pewnych, przyznaję, niewerbalnych uzgodnieniach, których domniemanie...

- Niewerbalnych domniemaniach, co? - powtórzył Dillon i zabrzmiało to jak pogróżka.

- Dzień dobry - powiedziała Rosie, wchodząc bez pukania do biura. Burza potarganych loków, bluzka wystająca ze spódniczki i usta, które wczoraj przez dwie minuty odpowiadały na jego pocałunki. Ben poczuł głęboką wewnętrzną radość. Pal diabli spiętrzoną groteskę dzisiejszego poranka, pal diabli wściekłość na Dillona, jedyną osobą, która naprawdę się liczy, jest Rosie i tylko Rosie!

Rosie zdumionym wzrokiem ogarnęła zgromadzone w biurze towarzystwo.

- Co tu się dzieje? - zapytała, patrząc groźnie na swoich braci.

- Meredith poprosiła, żebym jej pomógł naprawić kanapę - wyjąkał Dillon.

- Chciałem postudiować klasyczne sprawy karne. Ben ma bardzo interesujący zbiór... - bąknął Hoss, wycofując się chyłkiem do kancelarii.

- Pełnię obowiązki telefonistki - wyjaśnił Pal, zdejmując nogi z biurka.

- Muszę się zająć nogą Heather - powiedział Bat.

- Ach tak - zasyczała Rosie. - Bardzo śliczne wymówki. Ale tak naprawdę nachodzicie Bena. Nachodzicie go, bo, mimo wszystkich moich wyjaśnień, nie podobało się wam to, co się wczoraj zdarzyło, więc myślicie, że macie prawo się mieszać. A nie macie, bo to nie wasza sprawa, czy ktoś mnie lubi albo ja kogoś...

- Złotko - powiedziała Heather - bluzka wystaje ci ze spódnicy.

Rosie ze złością wepchnęła bluzkę za pasek.

- Ktoś kogoś lubi? - zapytała Meredith. - Czy to jest ta młoda osoba, z którą się szwendasz?

- Nie wygląda na przypadek prokuratorski - skomentowała Heather.

Superbyła w szczycie swych możliwości! Wokół może szaleć orkan, ale jeżeli nadarzy się okazja, żeby poniuchać w prywatnych sprawach Bena, superbyła na pewno jej nie przepuści. Tym razem kosztem Rosie.

- Rosie nie jest przypadkiem prokuratorskim i na pewno się nie szwendamy - powiedział Ben.

Twarz Rosie rozpogodziła się.

- To prawda - powiedziała. - Na pewno tego nie robimy.

- Spróbowała roześmiać się pogodnie, co jednak nie bardzo jej wyszło. - Odniosłam ci twoje ciuchy - powiedziała, podając Benowi paczkę z dressem.

W pokoju zapadła brzemienna cisza.

- Ciuchy, co? - powiedział ochrypłym szeptem Dillon, podchodząc do Bena.

- Dillon! - krzyknęła Rosie. - Natychmiast przestań! Dillon posłusznie odsunął się od Bena.

- Posłuchaj, braciszku - powiedziała. - Piętrzysz nieporozumienia. A jeśli już naprawdę musisz się zająć facetem, który mnie nachodzi, to mam u siebie niezgorszego bubka, któremu na pewno dobrze by zrobiła drobna nauczka - powiedziała.

Skonfundowana obróciła się w stronę Bena.

- Przepraszam. Czasem myślę, że moja obecność wywołuje w twoim życiu jeden huragan za drugim. Może... gdybyście zostawili mnie z nimi na kilka minut, może... udałoby mi się wszystko wyjaśnić i...

Ben spojrzał na zegarek.

- Za dziesięć minut jestem z kimś umówiony na mieście - powiedział.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała Heather zdumiona.

- Zapomniałem ci powiedzieć - burknął Ben i patrząc na Rosie dodał: - Mam spotkanie z klientem, który nazywa się... Peter Isaak. To już drugie spotkanie. W tym samym miejscu.

Rosie uśmiechnęła się.

Wychodząc, Ben spojrzał na Meredith.

- Wyrzuć ten niebieski sztruks, czy co to jest. Chcę, żeby kanapa została obita afrykańskim perkalem. Kolorowym i dzikim.

Ben wszedł do Starbucksa, błogosławiąc w duchu gościa, który wymyślił klimatyzację. Był pewien, że Rosie zrozumiała jego tajne przesłanie. Umówił się z kobietą i fakt ten napawał

go zdumieniem. Od ponad trzech lat, czyli od czasu gdy skończył się jego romans z Heather, nie umawiał się z nikim, mimo że obie były od czasu do czasu próbowały go namówić na jakąś randkę. Ben nie miał ochoty. Ani na pierwsze spotkanie, ani na następne, ani na romans, który z takich spotkań mógł wyniknąć. Każdy romans prowadził nieuchronnie do tej samej sytuacji. Prędzej czy później Ben musiał przejąć odpowiedzialność, stać się opiekunem i obrońcą bezradnej kobiety.

Ale teraz była Rosie.

Wiedział, że z nią wszystko potoczy się inaczej, bo Rosie była inna. Samodzielna. Uczciwa. Uczciwość Rosie była równie świeża i inna, jak jej uroda. Rosie była prosta, bezpośrednia i czysta. Była kobietą, której mężczyzna mógł bezgranicznie zaufać. Kobieta taka jak Rosie była nie tylko kochanką, była towarzyszem i przyjacielem. Dokładnie tak jak napisał mu Prawdziwy Mężczyzna. Istota z Marsa i z Wenus jednocześnie, w której istnienie jeszcze kilka dni temu nawet by nie uwierzył.

Ben przeciskał się między stłoczonymi stolikami do ich miejsca. Czyli istnieje już coś, co można określić jako „ich miejsce”. Jakie to dziwne zrzędzenie losu, że Rosie była tu wczoraj, dokładnie wtedy, gdy on umówił się z Prawdziwym Mężczyzną. Niestety dziś „ich miejsce” było zajęte przez jakiegoś młodego człowieka z czubem Irokeza. Ben poczuł bolesne ukłucie. To miejsce miało specjalne znaczenie. Było to uczucie irracjonalne, a zarazem wielce przydatne. Dzięki niemu uświadomił sobie bowiem, że jest zakochany.

- Przepraszam - zwrócił się do „Irokeza” - wiem, że zabrzmiało głupio, ale czy mógłby się pan przesiąść? - Sięgnął do portfela i wyjął banknot dwudziestodolarowy.

- Zwariowałaś, co? - zapytał chłopak, biorąc forszę i wstając.

- Zwariowałem - przyznał chętnie Ben.

Usiadł zadowolony, przyglądając się ludziom w kawiarni i na ulicy. Nagle drgnął. Za oknem przeszedł mężczyzna, który wyglądał jak największy z braci Rosie. A ponieważ było niewiarygodne, by w całym Chicago znalazł się jeszcze jeden taki typ jak Dillon, olbrzym za oknem musiał być Dillonem.

Nie wierzę, pomyślał Ben. To niemożliwe, żeby Rosie nasłała na niego swojego brata. Po prostu niemożliwe. Rosie jest na pewno wciąż jeszcze w biurze i próbuje uspokoić tych furiatów, których zrządzenie losu przydało jej jako braci.

Ale Rosie właśnie stanęła przy stoliku.

- Czy to krzesło jest wolne? - zażartowała.

- Jest twoje - wymamrotał Ben, czując, jak ustępuje całe jego napięcie, niepewność i obawa. Rosie przyszła!

- Śledzą cię - powiedział.

- Niedoczekanie! - odparła. - Palnęłam im mówkę, którą opatrzyłam odpowiednim ostrzeżeniem.

Mimo zapewnień Rosie, Ben wiedział, że się nie myli. Za oknem nadal czaiła się niebieska góra, która teraz zniknęła z pola widzenia, bo przed kawiarnią zatrzymał się czerwony trolejbus wycieczkowy.

To jest pomysł! Ben chwycił Rosie za rękę.

- Chodźmy! - powiedział. - Szybko!

Przecisnęli się między stolikami i wypadli na ulicę. W ostatniej sekundzie wskoczyli do pojazdu, drzwi zamknęły się z sykiem i trolejbus ruszył.

Ben obejrzał się. Na chodniku stali Dillon i „Armani”, wymachując pięściami w ich kierunku.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Po prawej stronie mogą państwo obejrzeć szczególnie interesującą krowę, pomalowaną w tradycyjne czarno-białe łaty. Krowa ma na szyi wiadro pełne popcornu i symbolizuje przeciętnego widza w kinie.

Rosie zachichotała i przysunęła się do Bena. Spędzili już dobrą godzinę, oglądając przez okno krowy i inne atrakcje Chicago, zachwalane przez domorosłego komika, pełniącego zarazem funkcję kierowcy, konduktora i przewodnika.

- Ciekawe, czy krowa kinowa widziała „Pożegnanie z Afryką” - szepnął Ben, dmuchając w niesforne loki za uchem Rosie. - Skoro podoba ci się pożegnanie z Afryką, to może najpierw powinnaś się przywitać? - dodał. - Owinęlibyśmy cię w kangę... - Dłoń Bena delikatnie przesunęła się po plecach i piersiach Rosie, jakby ubierał ją w kolorowy kawał perkalu. Rosie zamknęła oczy. Upał, delikatne podmuchy wiatru. Można było pomyśleć, że to wiatr w Serengeti. - A wiatr - powiedział Ben, jakby czytając w myślach Rosie - rozwiewałby twoje włosy.

Zmieniała się pod wpływem Bena. Dla niego i przez niego. Dotychczas była zawsze taka sama, zmieniały się tylko boginie, które pomagały jej żyć i walczyć. Teraz na placu boju pozostała już tylko jedna bogini, ale za to zmieniały się kobiety, z których każda była jakąś wersją Rosie. Gdzie się podziała ta mała prowincjonalna Rosie, zawsze jak Eliza Doolittle z plamą sadzy na nosie? Tak jak Pigmalion zmienił posąg w żywą kobietę, a profesor Higgins uczynił z nędzarki damę, tak Ben odsuwał na bok bojową jak chłopak Rosie i wydobywał z ukrycia namiętą kochankę, której Rosie nigdy przedtem nie spotkała. A mimo to nadal była to ta sama Rosie, wierny przyjaciel, partner, towarzysz życia i wędrówek po afrykańskich bezdrożach.

- Jak będzie padało - szeptał Ben - bo w dżungli często pada, wiesz, krople deszczu będą spływały po twojej nagiej opalonej skórze, a ja będę je łąpał ustami i pił... - Jego dłoń wędrowała tymczasem od kolana Rosie ku wewnętrznej stronie jej ud. Rosie czuła, że zaraz oszaleje z tęsknoty za pieścotami tego mężczyzny. Ale byli w autobusie pełnym turystów.

- Wcale nie jesteś prawnikiem - powiedziała Rosie. - Jesteś dzikim zdobywcą. Jak Mars.

- Mars? - zapytał zaskoczony Ben.

Cholera jasna, zganiła się w duchu, uważaj, dziewczyno, bo zaraz się wkopiesz. Ale na szczęście Ben sam znalazł wyjaśnienie. W końcu powiedział wczoraj Rosie, że mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus. Wprawdzie miał na myśli planetę, ale w tej metaforze chodziło przecież o rzymskiego boga wojny.

- Nie będę się przeprowadzał na Marsa - powiedział.

- Chcesz znaleźć jakąś planetę w pół drogi? - zapytała, zapominając, że to właśnie Ben napisał w liście do pana Prawdziwego Mężczyzny.

Czuła się rozgorączkowana i rozmarzona zarazem, w żaden sposób niezdolna do chłodnej kontroli tego, co mówi, co robi i co myśli. Szkoda, że pożegnali się z wyimaginowaną Afryką i wrócili do tłoczego autobusu wycieczkowego.

- W pół drogi? - Głos Bena był zdziwiony, prawie nieufny.

- Myślałam, że o tym wczoraj rozmawialiśmy, pamiętasz? - zapytała. - Powiedziałam, że odpowiednią na problemy mężczyzn i kobiet byłoby mieszkać po części na jednej planecie, po części zaś na drugiej.

Twarz Bena złagodniała.

- Tak, to prawda - powiedział, bawiąc się jej lokami i zaglądając jej głęboko w oczy. - Rozmawialiśmy o tym.

Patrząc w ciemnoniebieskie oczy Bena, Rosie czuła, że za chwilę roztopi się w tym błękicie, jednocześnie zaś miała wrażenie, że jej ciało odmawia posłuszeństwa, a ona sama traci nad nim kontrolę. Uważaj, powiedziała do siebie, wyprostowała się i zaczęła obcasami o poprzeczkę pod fotelem.

- O czym myślisz? - zapytał ją Ben.

- O moich półbutach - odpowiedziała i zamilkła przerażona. Oto po raz pierwszy od wielu lat, ach, gdzie tam, w ogóle po raz pierwszy w życiu znajduje się tak blisko mężczyzny, którego ewidentnie pożąda i na którego uczuciach jej straszliwie zależy i na pytanie, będące elementem gry miłosnej, odpowiada jak najbardziej obojętna... krowa w czarne i białe łaty. Jak można powiedzieć roznamiętnionemu mężczyźnie, że myśli się o... praktycznych półbucikach!

Ale, o boginie! Ben wcale nie potraktował tego jak bezmyślnej głupoty.

- Tak - powiedział. - Tylko pewna swojej atrakcyjności kobieta zdobędzie się na odwagę noszenia takich butów.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytała z sercem bijącym jak u pensjonarki.

- Te buty dodają ci skrzydeł, niosą cię ku wybranym celom i pozwalają ścigać marzenia.

- Jak bogini - powiedziała Rosie, myśląc o lekkostopej Artemidzie, pani dzikich ostępów i łowczyni snów. Artemida na pewno nie chodziłaby w butach na obcasie ani na półmetrowych podestach.

Ben rzucił okiem na zegarek.

- Pora lunchu - powiedział. - Czy to będzie bardzo straszne, jak pozwolimy sobie na jeszcze chwilę przerwy? Zaraz staniemy przed hotelem „Cztery Pory Roku”.

- Skąd wiesz? - zapytała Rosie.



- Bo miesiąc temu pokazywałem miasto kuzynowi z Seattle. I poszliśmy na obiad do restauracji hotelowej. Więc jak? Wysiadamy czy jedziemy do pracy?

- Wysiadamy - zdecydowała Rosie. W najgorszym wypadku popracuje dłużej po południu. - Ale... - zawahała się.

- Co ale?

- Nie jestem odpowiednio ubrana...

- Zamówimy serwis do pokoju - odpowiedział Ben, patrząc na nią tym cudownym wzrokiem, od którego cała jej dotychczasowa niezależność brała w łeb i ulatywała o tysiąc kilometrów w powietrze.

Rosie z najgłębszą uwagą przypatrywała się kwiatom w wazonie. Ben wynajmował pokój i czuła się potwornie głupio. I niepewnie. Nigdy w życiu nie obejrzała tak dokładnie tygrysich lilii. Ani strelicji. Bukiet wyglądał jak rój rajskich ptaków, straszących pomarańczowe, ogniste pióra. Jak Afryka. Jak ich szalone rojenia o wędrowce przez dżunglę w potokach ulewnego deszczu. Jak to szaleństwo, którego się teraz dopuszczają. Rosie była roztrzęsiona i miała miękkie kolana. Ben ujął ją pod łokieć i poprowadził w kierunku windy. Elegancko i z gracją. Jak gdyby nigdy nic. Jakby to było normalne, że w porze lunchu idzie się do apartamentu w luksusowym hotelu. Jak ci starsi państwo, których właśnie przepuścili, wsiadając do windy. Pani uśmiechała się do nich przyjaźnie, a pan żartobliwie zagadywał. Rosie ze wszystkich sił próbowała się zdobyć na uśmiech, ale niezbyt jej to wychodziło.

Wysiedli na osiemnastym piętrze i poszli do pokoju. Jak gdyby nigdy nic. Korytarz był wysłany miękkim, gęstym dywanem. Jak pluszowy miś. Ben otwierał drzwi kartą magnetyczną. Rosie oparła się o framugę. Nie była w stanie stać o własnych siłach. Jak pluszowy miś. Jak zabawka.

A potem, jak gdyby nigdy nic, weszli do pokoju. Elegancko i z gracją.

Ale za progiem żadne z nich nie zachowywało się już ani elegancko, ani z gracją. Ben objął ją i zaczął namiętnie całować.

- Jesteś taka piękna, Rosalind - powiedział. Zmiażdżona szaleńczym uściskiem, Rosie z trudem łapała oddech. Szaleńczy uścisk. Tak, byli jak szaleni. Wtuleni, wpleceni w siebie, upojeni, zakochani.

W pewnej chwili Ben odsunął ją od siebie na odległość ramienia. Patrzył na nią długo i w milczeniu. Wciąż jeszcze stali oparci o ścianę tuż koło drzwi. Teraz poprowadził ją na środek pokoju. Jak zabawkę. I cały czas milczał.

- Nie będziemy się spieszyć - powiedział wreszcie. - Musimy zapamiętać tę chwilę i ten pierwszy raz.

Pierwszy raz? A więc to nie była przygoda jednego letniego przedpołudnia? Pierwszy raz, a potem jeszcze wiele, wiele razy.

Rosie z trudem pozbierała myśli. Jestem w luksusowym hotelu, pomyślała nagle. Jeszcze nigdy nie była w takim miejscu. Rozejrzała się po pokoju. Był jak pałac. Obrazy w złotych ramach. Kryształowy kandelabr. Lśniące, wypolerowane meble.

- To specjalne miejsce - powiedział Ben, przyglądając się Rosie, która zachowywała się jak mała dziewczynka. Teraz zdjęła buty i bosą stopą delikatnie badała puszysty dywan. Przytulił ją do siebie. - Bo to nasz pierwszy raz. Następnym razem poszukamy czegoś afrykańskiego.

- Ben... - powiedziała niepewnie. Pogłaskał ją delikatnie.

- Tak? Czy jesteś... - O dziwo, on też nie wiedział, jak zadać jej to pytanie.

- Nie - pokręciła głową. Jak ma mu to powiedzieć? Przypomniała sobie swoją rozmowę z Pam. Pam zrozumiała, więc może Ben też zrozumie. - Nie w sensie... technicznym.

Ale to, co Rosie chciała powiedzieć Benowi, nie dotyczyło szczegółów... technicznych. Jak jednak miała mu wyznać, że to było kilka lat temu, tylko raz, z kimś, kogo na pewno nie kochała, i po to tylko, żeby mieć to wreszcie za sobą... A to oznacza... że nic w tym niezgrabnym akcie nastolatków nie przypominało dzisiejszej sytuacji. A to oznacza też... że nic nie wie, nic nie umie, jest głupią niedoświadczoną gąską z prowincji, która znalazła się w pałacu godnym bogów i bogiń z mężczyzną, którego... pożąda? Chyba nie ma na to innego słowa.

- Nie bój się - powiedział Ben. - Mamy czas, mamy mnóstwo czasu.

Była druga po południu, gdy Ben pogwizdując wszedł do biura.

- Wyszedłeś tylko na chwilę - powiedziała Heather głosem pełnym wyrzutu. Siedziała za biurkiem. Najwyraźniej skrecona kostka przestała ją boleć.

- Nie ma dzikich braci? - zapytał. Heather uśmiechnęła się promiennie.

- Przecież chyba nie brałeś tego wszystkiego poważnie?

- Czego?

- No tego, że poszli do Starbucksa i w ogóle.

- Mogą sobie nas śledzić do woli. Rosie i ja kochamy się.

- No też mówię - powiedziała Heather. - Dokładnie o to im chodziło. Nam też.

Jakim nam, zastanowił się przez chwilę Ben. Ale Heather nigdy nie posługiwała się niedomówieniami. To na pewno nie było w jej stylu.

- Jak wyszliście, najpierw ty, a potem Rosie, chłopcy... Chłopcy!!! Góry mięsa!

- ...chłopcy najpierw chcieli pędzić od razu za tobą, ale zatrzymałyśmy ich tutaj i opowiedziałyśmy im, jakim jesteś wspaniałym i cudownym człowiekiem.

Aha, my, czyli superbyłe! No proszę! Nawet superbyłe stały po stronie zakochanych. Ale dzień! I jakie zmiany!

- A właściwie, jak na to wpadłyście?

Heather przyjrzała mu się z uśmiechem wyższości.

- Beniusiu - powiedziała - na to nie trzeba specjalnego geniuszu, bo to po prostu widać. Braciszkom się to podoba. Nam też.

- Hm - mruknął Ben z powątpiewaniem. Ale paplanina Heather była w stanie rozwiać wszelkie wątpliwości.

- Bo tak trochę cię najpierw nastraszyli, ale teraz będziemy wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Ty i Rosie, Meredith i Dillon, ja i Bat. Czy to nie supercudowne?

I choć Ben nigdy przedtem nie był w stanie operować superprzymiotnikami, których używała Heather, teraz w drodze wyjątku był skłonny przyznać, że tak...

- ...to rzeczywiście supercudowne.

Bo rzeczywiście tak się czuł i rzeczywiście, gdy myślał o minionym dniu i o tym, jak kochali się z Rosie na puszystym dywanie na osiemnastym piętrze hotelu „Cztery Pory Roku”, wiedział, że wszystko było naprawdę supercudowne i nikt nigdy nie znalazł na to lepszego słowa.

- Popracuję trochę w kancelarii - powiedział.

Usiadł za biurkiem i wyjął z kieszeni marynarki list od pana Prawdziwego Mężczyzny. Tak naprawdę nie był już konieczny. Ben ani myślał wyprowadzać się na Marsa, bo był superhiperszczęśliwy na Wenus.

„Szanowny Panie, pisał pan Prawdziwy Mężczyzna, cieszę się bardzo, że doszedł Pan do etapu, w którym może Pan podzielić z kimś swoją życiową przestrzeń. A ponieważ

jest Pan Marsem, kobieta wybrana przez Pana musi być boginią..."

Ben z niedowierzaniem przeczytał to zdanie jeszcze raz, a potem jeszcze raz. Nigdy nie użył w swoim liście takiego słowa! To było słowo Rosie. Raz użyła go w trolejbusie, a potem jeszcze raz, w hotelu. Przypadek? Wrócił do listu.

„Myślę, że dobrze się stało, iż postanowił Pan żyć po części na Marsie i po części na Wenus..."

Znowu słowa Rosie, a nie jego. On myślał o „planecie pomiędzy" i pamiętał, że zdziwiło go, gdy Rosie użyła jego wyrażenia Teraz z kolei pan Prawdziwy Mężczyzna używa sformułowania Rosie. Kolejny przypadek? A właściwie nawet - dwa przypadki? A to, że Rosie przyszła wczoraj do Starbucks'a? Była we właściwym miejscu o właściwym czasie. Wtedy, gdy on czekał na Prawdziwego Mężczyznę! I na dodatek, wczoraj, krzycząc na braci, Rosie zarzuciła im, że skompromitowali ją przed naczelnym... to mogłoby oznaczać różnych szefów, ale przede wszystkim naczelnego wydawcę. Czyżby Rosie pracowała w redakcji? A jeżeli tak, to jedyną redakcją w ich biurówcu był „Prawdziwy Mężczyzna"!

- Beniusiu - powiedział Ben na głos, imitując Heather - na to nie trzeba specjalnego geniuszu, bo to po prostu widać. Rosie pracuje w redakcji „Prawdziwego Mężczyzny"!

Jako Prawdziwy Mężczyzna!

Ben zmiął list i z wściekłością wrzucił go do kosza. Czuł się zdradzony, oszukany i wykorzystany. Rosie potraktowała go gorzej niż kiedykolwiek traktowały go jego superbyłe. One chciały i żądały, ale Rosie prowadziła grę. Nadużyła jego zaufania. Kobieta, którą podziwiał za uczciwość i prostolinijność, i z którą właśnie się kochał i czuł się supercudownie, wcale nie była uczciwa. Była zimno kalkulującym graczem, rozstawiającym pionki na

szachownicy. I być może wszystko, łącznie z jej miłosnym uniesieniem, było tylko grą.

Pomyślał, że jak ją dostanie w swoje ręce, to tak przydusi tę przebiegłą pannicę o słodkich brązowych lokach, aż wydusi z niej całą prawdę.

- Ty, bubek!

Jerome podniósł oczy znad klawiatury komputera.

- To chyba pomyłka. Nie jesteśmy agencją, zatrudniającą statystów. Kto pana do mnie przysłał?

- Ja - powiedziała Pam. - Pozwolisz, że ci przedstawię. Dillon Myers, brat Rosie.

- Tak? - zapytał Jerome, próbując zachować twarz. Nie było to łatwe. Dillon Myers był po prostu olbrzymem, zdolnym jednym palcem rozmiąć o ścianę takiego bubka jak Jerome.

I właśnie się do tego zabierał! I to niedwuznacznie! Dillon wyciągnął łapsko, chwycił Jerome'a za klapy marynarki i uniósł z krzesła. -Ty! Jerome chwycił rękami za blat biurka.

- Co jest, do cholery!?! - wycharczał. Dillon przybliżył twarz do twarzy Jerome'a.

- Nie przeklinaj, kotusiu, bo to brzydko. A na drugi raz nawet nie próbuj zaczepiać mojej siostry!

Do biura weszła Paige i nie zrażona wielkością Dillona, powiedziała rozkazującym tonem:

- Proszę natychmiast puścić mojego sekretarza.

- Jeszcze z nim nie skończyłem - odpowiedział Dillon. -A coś mu się za to należy, że napastował moją siostrę i robił jej... co?

- Niedwuznaczne propozycje - powiedziała Pam.

- Zadzwońię po policję - zagroziła Paige, sięgając po słuchawkę.

Dillon jednak ubiegł ją. Podniósł aparat i trzymał go nad głową Jerome'a, stanowczo za wysoko, by Paige mogła po niego sięgnąć.

- Pam - powiedziała Paige - proszę o wyjaśnienie. O co tu chodzi i co masz wspólnego z tym człowiekiem?

- Pani sekretarz czyni Rosie niedwuznaczne propozycje, sugerując, że jeśli się z nim prześpi, może jej pomóc w karierze.

- To są niecne pomówienia - zapiszczał Jerome. Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, ale w końcu Dillon wciąż jeszcze trzymał go w powietrzu.

- Słyszały to co najmniej dwie osoby. Pani asystent powiedział, że Rosie tylko jemu zawdzięcza możliwość spotkania się z panią. - Pam spojrzała wymownie na Paige. - I może jej to umożliwić znowu, ale taka przysługa kosztuje więcej niż lunch. - Twarz Paige Leighton stężała. - A to sprawa, która kosztuje wyrzucenie z pracy i odszkodowanie. I to nieźle. Prasa lubi takie skandale. Rosie postanowiła tego nie robić, ale jestem zdania, że ktoś w tej budzie musi się ująć za kobietami, od których pani asystent wyłudza przysługi finansowe i seksualne.

- Nikt nie musi się za mną ujmować - powiedziała Rosie, wchodząc do biura. Spojrzała na Dillona i dodała rozkazującym tonem: - Puść go!

- Napastował cię...

- Puść go!

Dillon puścił Jerome'a, który pacnął na krzesło jak marionetka. Rosie spojrzała na Paige.

- Przepraszam i panią, i pani sekretarza.

- Przepraszam! - warknął Jerome. - Ten goryl omal mnie nie udusił!

Teraz z kolei Paige spojrzała na Jerome'a.

- Usłyszeliśmy tu poważne oskarżenia. Będziemy musieli oboje udać się do kadr i wyjaśnić to w obecności referenta do spraw równouprawnienia.

- Jestem niewinny.

- Jesteś Prawdziwym Mężczyzną! - powiedział ktoś oskarżycielsko. Wszyscy się obrócili. W progu stał Ben, który, co było wyraźnie widać, po prostu gotował się z wściekłości. Patrzył tylko na Rosie i tylko do niej się zwracał: - Okłamałaś mnie!

Rosie już zamierzała powiedzieć, że nie, że jest sekretarką pana Prawdziwego Mężczyzny, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Jeżeli naprawdę kocha tego człowieka, to niezależnie od konsekwencji nie może go teraz ponownie okłamać. Nie może i nie chce. I mimo całego przerażenia Rosie poczuła rodzaj ulgi.

- Wybacz mi - powiedziała.

- Wybacz? - zapytał Ben. - I to ma wystarczyć? Oszukałaś mnie! Udawałaś! Czy w hotelu też tylko udawałaś? Udawałaś, że mnie kochasz?!

- Tak - powiedziała cicho Rosie - oszukiwałam cię. Nie w hotelu. Ale w ogóle, tak. Ale to było tylko... przejściowe.

- Przejściowe oszustwo!? Czy to coś w rodzaju przejściowej niepoczytalności?

- Nie rozumiesz - powiedziała Rosie, przerażona wybuchem jego wściekłości.

- O, myślę, że świetnie rozumiem. I zdaje mi się, że popadłem w rodzaj przejściowej niepoczytalności. Co sprawiło, że najpierw napisałem do Prawdziwego Mężczyzny, a potem ci uwierzyłem. Uwierzyłem w tę bzdurę, jakoby można było żyć po części na Marsie, po części na Wenus. Czytałaś moje listy, które nie były adresowane do ciebie, cytowałaś je. Miałaś nade mną przewagę, bo wiedziałaś, co ja czuję, podczas gdy ja błądziłem po omacku, lecąc jak ćma w



twoją wenusjańską pułapkę. Wykorzystałaś mnie, Rosie! Wiedziałem, że zależy ci na tym, żeby się przebić i wysoko polecieć. Ale nie sądziłem, że możesz upaść tak nisko.

Mylnie ją osądzał. Nie wykorzystywała go. Też błędziła po omacku. I to nie była gra, gdy mówiła, że można żyć po części na Marsie, po części na Wenus. Wierzyła w to, chciała w to wierzyć z całej siły. Powinna mu to powiedzieć. Obronić się. Powiedzieć, że go kocha...

Ale w jednym miał rację. Chciała polecieć wysoko i zawsze się bała, że kiedyś ją to zniszczy. I to kiedyś właśnie nadeszło. Zawsze walczyła o pierwszeństwo z braćmi. Chciała być lepsza. To było jak druga natura i oddziaływało na wszystko, na stosunki w pracy, na stosunki z ludźmi, na stosunki z mężczyznami. Nigdy tak jasno nie uświadomiła sobie tego, jak w tej chwili. To właśnie jej przebojowość, chęć wydostania się z „kanału” sprawiły, że walczyła jak lew, żeby zdobyć stanowisko Prawdziwego Mężczyzny i to właśnie zniszczyło jej stosunki z Benem.

- Masz rację - wyszeptała załamującym się głosem. Wiedziała, że nic nie zdoła mu wytłumaczyć. Okłamała go i to był koniec.

- I jej nie mam - odpowiedział Ben, równie cicho. Już nie był wściekły, ale smutny. - Gdybym myślał, zamiast poddawać się uczuciom, wiedziałbym, że wpadam w tę samą pułapkę co zawsze i zajmuję się twoimi sprawami bardziej niż moimi. Chociaż poprzysiągłem sobie, że nigdy już nie będę tak robił.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, mając pełną świadomość, że znajdują się w impasie. Z bólem serca Rosie musiała powiedzieć sama sobie, że poświęciła miłość swojego życia dla kariery. Poświęciła Bena, okłamując go. Musiał odnieść wrażenie, że to on otacza ją opieką po to, by ona mogła iść swoją wytyczoną drogą, a przecież naprawdę

postępowali oboje tak, jak winno się postępować w miłości - troszcząc się o siebie nawzajem. Gdyby tylko go nie oszukała.

..

Ben oddychał ciężko, a jego oczy wyrażały gorycz, żal i ból.

- Nie czujesz się jak bogini? - zapytał wreszcie.

- Bogini! - Paige, która w milczeniu przysłuchiwała się dramatycznej rozmowie kochanków, po raz pierwszy uznała, że musi się wtrącić. W jedwabnym kostiumie wydawała się groźniejsza niż Artemida w pełnym rynsztunku bojowym.

- Rosie - powiedziała zimno. - Bardzo mi przykro, że Jerome zachował się tak, jak się zachował, a ja muszę teraz wystąpić przeciwko tobie, ale ostrzegałam cię. Postawiłam ci warunek, że nawet najmniejsza wzmianka o jakiegokolwiek bogini nie ma prawa pojawić się w związku z twoją pracą. I żaden, ale to żaden czytelnik nie ma prawa się domyślić, że rolę Prawdziwego Mężczyzny przejściowo piastuje kobieta. W sposób oczywisty złamałaś oba te warunki.

Rosie tylko skinęła głową. Przeżyła straszliwą porażkę uczuciową i to pozbawiło ją siły, by bronić się przed innymi atakami.

- Mam nadzieję, że rozumiesz - mówiła dalej Paige - że w tym momencie straciłaś pracę. Spakuj swoje rzeczy.

Rosie spojrzała na Bena, ale on już się odwrócił i wyszedł. Skończył z nią, podobnie jak Paige. I tak właśnie skończyły się też jej marzenia o karierze i miłości.

Ze wszystkich porażek, które dotknęły ją tak nagle, strata Bena była najcięższa.

Ben wypadł na ulicę we wściekłym nastroju. Wściekły upał był niczym w porównaniu z jego wściekłością. Dlaczego Rosie go zdradziła? Dlaczego go okłamywała? Szedł szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na to, dokąd idzie. Musiał wyładować rozczarowanie i złość. W kilka chwil potem

znalazł się koło Starbucksa. Poczul dotkliwy ból, przypominając sobie ich wczorajsze spotkanie i błyszczące, brązowe oczy Rosie, pełne zdumienia i przestachu, gdy nagle pojawił się przy stoliku. Nie trzeba było być psychoanalitykiem, żeby uświadomić sobie, co w tym momencie działo się w jej głowie. Rosie nie wiedziała, że Mars to Ben. Tak jak on nie wiedział, że Rosie jest Prawdziwym Mężczyzną.

Zatrzymał się. Musiał się nad tym zastanowić. Tu jeszcze Rosie nie miała zamiaru go oszukać. Jej reakcja na niespodziewane spotkanie była prawdziwa.

Przypomniał sobie Rosie na parkingu wczoraj rano. Rozdygotaną i przerażoną, w cienkiej koszulinie. Własne roztrzepanie mogło obrócić wniwecz wszystkie jej wysiłki. Gdyby nie Ben, wyśmiano by ją od strychu do piwnic.

Nagły przebłysk zrozumienia przyprawił go dosłownie o fizyczny ból. Pomógł jej, bo też wie, co znaczy walczyć jak lew o własny sukces. On też zawsze musiał być lepszy. To go zaprowadziło na prawo. To mu pomagało wygrywać w sali rozpraw, zdobywać klientów, pieniądze, renomę ostrego i walecznego adwokata.

Odgarnął ręką włosy. Znów ruszył przed siebie. Jeszcze raz przywołał obraz Rosie, wchodzącej do kawiarni. Była przerażona spotkaniem z nim. Ale miał też jeszcze przed oczami widok Rosie, osaczonej ze wszystkich stron w redakcji „Prawdziwego Mężczyzny”. Tym razem była przerażona sama sobą. Tym, do czego doprowadziła jej zawzięta walka. A przecież ten rodzaj walki był nieodzowną częścią świata, w którym oboje żyli. I jeżeli Rosie była winna, to on też musiał przyjąć na siebie część tej winy. On też walczył. I płacił cenę, której wcale nie chciał płacić.

Jego uwagę przyciągnęła wystawa wielkiego sklepu sportowego. Rękawice bokserskie, kije golfowe, kajak. On też poświęcił to, co ważne i kochane, dla kariery.

Ktoś zapukał do drzwi.

Rosie zerwała się z podłogi. Cały pokój zastawiony był pudłami i kartonami. Trzymała w ręku hełm ojca, próbując go wepchnąć do którejś z paczek.

Ktoś ponownie zapukał.

- Otwarte! - krzyknęła. - Hej, wy tam...

Cisza.

- Dillon?! - zawołała. - Bat?!

Nadal nie było odpowiedzi. Widocznie zapomnieli kluczy. No OK, wpuści ich, wyjaśni, co się zdarzyło, a potem wspólnie dokończą pakowania jej rzeczy. A nazajutrz rano Rosie pojedzie z Dillonem do domu. Tyle dobrego, że przyjechał półciężarówką.

Z hełmem w ręku podeszła do drzwi. Jakiś facet w hełmie do rugby. Znowu zbierają forszę na sztandar klubowy albo coś takiego.

- Nie interesuję się sportem - powiedziała Rosie dość niegrzecznie, zamykając drzwi, ale facet wetknął obutą w adidas stopę między drzwi i framugę.

- To nie rugby - powiedział przez zamknięty wizjer - to Mars.

Rosie spojrzała w przejrzysty wizjer. Ben! Z całych sił chciała wyglądać spokojnie, ba, obojętnie, ale to głupie serce znowu waliło jak oszalałe bębny Bum Bum.

- Mars też mnie nie interesuje - powiedziała. - Proszę zabrać nogę.

- Droge? Tak, wybieram się w drogę.

Ben otworzył drzwi trochę szerzej. Rzeczywiście Mars. Silny i uparty. Zdecydowany. I wyraźnie ma kłopoty ze słuchem. Tego przedtem nie zauważyła. Nie miało sensu

walczyć z nim, bo widać było, że za wszelką cenę postanowił wejść do środka. Zrezygnowała, otworzyła drzwi i wpuściła go. I bez tego miała dość roboty.

- Nie wiedziałam, że Mars grywał w rugby - powiedziała kpiącym tonem.

Ciekawe, skąd Ben wytrzasnął taki hełm?

- Skąd wytrzasnęłaś taki hełm? - zapytał Ben. - Myślałem, że Wenus nie potrzebuje zbroi.

Rozejrzał się po pokoju.

- Pakujesz się?

- Swojskie dziewczę wraca do domu.

- Nie mówić nikomu? - zapytał.

- Wiesz - powiedziała Rosie bardzo głośno - może lepiej zdejmiesz ten hełm?

Ben uśmiechnął się w ten swój wspaniały, męski, nieco leniwy sposób. I potwornie sexy.

Uderzył się kilka razy pięściami w piersi, jak dzieci, które naśladowują King-Konga.

- Ale jestem Marsem i muszę nosić zbroję podczas walki.

- Jakiej walki?

- Postanowiłem zdobyć kobietę moich marzeń.

- Za późno - szepnęła Rosie. I miała rację. To się nigdy, przenigdy nie może udać. Była zbyt przebojowa, zdolna poświęcić dla kariery wszystko, nawet ukochanego mężczyznę. A on był wiecznym opiekunem. Spędzą życie, kłócąc się albo walcząc. - Nie mogę, Ben. Uwierz mi. Okłamałam cię...

Ben zdjął hełm i położył go na stoliku.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem...

Jednak ze sposobu, w jaki na nią patrzył, Rosie wiedziała, że usłyszał, i to bardzo dobrze.

- Nie będziemy staczać bitwy, Rosie. Też możesz odłożyć swój hełm.

Z trudem powstrzymała uśmiech.

Ben bez hełmu wydał się jej wyczerpany. Nerwowo odgarniał potargane włosy. Ubranie, to samo, co rano, było wymięte. Twarz zmęczona. Był rozgorączkowany i niespokojny. Podobał się jej. Szedł na całego. Mars ruszający do boju o Wenus.

Chciał podejść do niej, ale zatrzymała go ruchem dłoni.

- Ben...

- Mars!

Znowu z trudem pohamowała uśmiech. Ale sprawa była poważna i Rosie nie chciała się śmiać.

- To nigdy nie zadziała - powiedziała. Ben niezrażony podszedł o krok bliżej.

- Wylali cię z pracy - powiedział - więc równie dobrze możesz pojechać na dwa-trzy tygodnie do Afryki.

- Do Afryki? Wracam do Kansas. Jutro rano wyjeżdżam.

- Co na to twoi bracia?

- Powiem im, jak przyjdą. Są jeszcze w mieście, gdzie pewnie napastują jakąś następną ofiarę.

- A propos. Heather się wygadała. Wiesz, że ich węszenie koło Starbucksa i pościg za trolejbusem były zabawą? Ponoć pomyśleli sobie, że w ten sposób prędzej się dogadamy.

Zamyślił się przez chwilę.

- I właściwie im się udało - dodał. - Moje superbyłe ich przekonały, że pasujemy do siebie. No i że jestem dobrym połowem dla dziewczęcia z prowincji. Co też jest prawdą.

Wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Rosie.

- Co to? - zapytała. - Jeszcze jeden list do pana Prawdziwego Mężczyzny?

- Skoro już o tym mówimy... Przeczytałem jeszcze raz listy od niego, wrrr, od ciebie. Jesteś mądrą kobietą, panno Rosalind Myers. Przenikliwą, empatyczną, inteligentną. Może

ociupinkę za bardzo nastawioną na... własne korzyści, ale poza tym...

Rosie uśmiechnęła się. W pierwszym liście napisała Benowi, że są też inne kobiety, oprócz zachłannych harpii. I opisała siebie.

- Mam ci dużo do zawdzięczenia. Również w twojej roli jako Prawdziwy Mężczyzna. Zmieniłaś moje życie. I sprawiłaś, że wiele zrozumiałem. I jesteś przyjacielem.

Poczuła, że zaraz się rozplacze.

- Okłamałam cię - powtórzyła uparcie. - Jestem przebojowa i...

Ben roześmiał się.

- Przebojowe kobiety nie płaczą - powiedział ciepło. - A poza tym w ciągu dzisiejszego popołudnia zrozumiałem też chyba motywy twojego postępowania. Wiem już, że wszystko, co się zdarzyło, kłamstwo i oszustwo, wynikało z twojej potrzeby sukcesu i nie było skierowane przeciwko mnie. Owszem, w pracy jesteś przebojowa, nawet to miejsce na parkingu było tak ważne, bo było częścią twojej pracy. Ale w przyjaźni potrafiłaś podtrzymać mnie na duchu, a w miłości byłaś czuła i uległa.

Ostatnie słowo powiedział nieco ciszej, nie wiedząc, jak Rosie je przyjmie. Młode emancypowane kobiety nie były przecież uległe!

Podszedł jeszcze o krok bliżej. Rosie patrzyła na niego wzruszona i smutna. Jak zawsze podczas pracy przewiązała włosy wstążką, odsłaniając czoło. Ben przyciągnął ją do siebie i potargał jej fryzurę. Niesforny lok, szczesany do tyłu z resztą włosów, znowu spadał na czoło.

- Znacznie lepiej - powiedział. Rosie nadal milczała.

- Nie interesuje cię, co jest w kopercie?

Uśmiechał się tak szelmowsko, że w końcu Rosie też musiała się uśmiechnąć.

- Poddaję się - powiedziała. - Co jest w kopercie?

- Dwa bilety na podróż po Afryce.

Tym razem milczała tak długo, że Ben zaczął podejrzewać, że z jakichś powodów nie chciała usłyszeć tego, co powiedział.

- Będę robił zdjęcia, a ty będziesz pisała.

- Czy to sposób Bena Taylora na pocieszenie upadłych dziewcząt, wywalonych z pracy?

Ben machnął ręką.

- Ta twoja, jak jej tam, Paige, zadzwoniła do mnie do biura. Twierdziła, że usiłuje się do ciebie dodzwonić, ale nie podchodzisz do telefonu. To zresztą prawda, ja też próbowałem. No, w każdym razie myślała, że jesteś u mnie.

- I? - zapytała Rosie.

- Masz chyba sporo do zawdzięczenia tej swojej przyjaciółce. Po pierwsze, coś tam nakładła jej do głowy, tak że pani Paige zrozumiała, co się zdarzyło i że to nie była twoja wina...

Rosie wzruszyła ramionami.

- Niech będzie - powiedziała. - A Pam jest rzeczywiście niebywała jako przyjaciółka.

- W każdym razie tygodnik „People” zainteresował się twoimi przygodami i masz napisać dla nich artykuł.

- Aha - powiedziała Rosie. - I co Paige na to?

- Jest zachwycona. Robisz im w ten sposób bezpłatną reklamę i zaraz zwiększą nakład.

- Przynajmniej coś.

- Powiedziałem tej, jak jej tam, Paige, że zastanowisz się nad ich ofertą pracy...

- Ofertą pracy? - zapytała Rosie.

- Zdaje się, że popadasz w echolalię. Tak, ofertą pracy. Na stanowisku samodzielnego redaktora.



- Co? - zapytała, starając się usilnie nie powtarzać za Benem jego ostatnich słów.

- No w każdym razie, powiedziałem, że dasz im odpowiedź, jak wrócimy z podróży poślubnej.

Ben sobie może to nazywać, jak chce, ale Rosie musi przecież dokładnie zrozumieć, co właśnie powiedział.

- Z podróży poślubnej? - zapytała więc.

Objął ją. Pasowała dokładnie do uścisku jego ramion. Jakby ją specjalnie dla niego wykonali. I jeszcze dołożyli te wspaniałe, jedwabiste loki. I brązowe pytające oczy. Nie wypuszczając Rosie z objęć, wyszedł z nią na balkon. Ciepłe wieczorne powietrze przynosiło daleki zapach róż.

- Cały świat pachnie twoim imieniem - powiedział Ben i podniósł Rosie do góry.

- Oszalałeś! Puść mnie! - krzyknęła.

- Lepiej popatrz na dół.

Na ulicy stał komplet braci Myers i Pam.

- Panno Rosalind Myers - powiedział Ben donośnym głosem - czy wyjdzie pani za mnie za mąż?

Rosie zastanowiła się. Od czasu gdy była z Benem, nie potrzebowała wsparcia bogiń i mogła udzielić odpowiedzi bez pomocy Hery, patronki małżeństw.

- Tak.

- No to bierzemy ślub - zdecydował Ben, stawiając ją z powrotem na ziemi - i do Afryki! Po powrocie pojedziemy do Kansas i urządzimy prawdziwe wesele. Z kwiatem pomarańczowym i białą suknią. Mama już wie i zabiera się do szycia.

- A jak wrócimy z Afryki i z Kansas, to gdzie będziemy mieszkali? - zapytała.

- Po części na Wenus, a po części na Marsie.